



№ 383.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 26 stycznia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie.
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Józef Lubowski (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Nowa Praga pod Warszawą (z 6ma drzeworytami). — Dobry Starosta (dokończenie). — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Banki zaliczkowe dla rzemieślników. — Pierwsza pacjentka. (Powieść). Dalszy ciąg. — Z Tyflisu pod Ararat (dalszy ciąg). — Rozmaitości. — Helena (Powieść). Dalszy ciąg.

Józef Lubowski.

W Krakowie, jeżeli kiedy talent jaki muzyczny wyżej się nieco nad poziom uniośl, winien to być własnym tylko zdolnościom; brak bowiem jakichkolwiek wzorów i krytyki uczciwej, tej rzec można nieodzownej i jedyniej artystów szkoły, najniekorzystniej wpływał na postęp sztuk nadobnych.

Hummel, znany całemu światu muzykalnemu i na swój zwłaszcza instrument kompozytor pierwszorzędnym, napominał raz jednego swego ucznia, oddającego się w wolnych chwilach krytyce muzycznej: „Zginałeś bracie dla sztuki. Pisałbyś raczej nuty, nie zaś o nutach. Zostaw tę rzecz trudniącym się nią z zawodu, bo artysta z powołania zbyt wiele ma zajęcia. Sztuka jest długą, życie krótkie; poświęć więc wszystkie swe siły sztuce, jej się oddaj duszą całą.“ Zdanie to zaprawdę jest fałszywe, któż bowiem lepiej znać może tajniki sztuki, niż artyści? POCO szukać cudzych bogów, kiedy sami sił własnych najlepiej świadomi, warunki piękna i ciężką drogę do osiągnięcia możliwej dokładności pojmujemy, możemy o rzeczach tak blisko nas obchodzących pomówić i prawdę ogłosić z pochlebstwem, a za prawioną miłością i braterstwem wypowiedzieć? Obojętność nasza niedziwi że szkodzi zarówno sztuce jak i artystom, wkładając pióro w ręce ludzi częstokroć najmniejszego pojęcia o estetycznym pięknie niemających. A dzieje się to niemal wszędzie.

Przed dwudziestu laty mieszkali w Tuluzie dwaj bracia kramarzcy norymberszczyzną, nazwiskiem Esendier. Zbankrutowawszy, postanowili na innym polu szukać chleba; aż wreszcie przyszli do przekonania, że dziennikarstwo muzyczne najwięcej widoków korzyści przedstawia. Nie namyślając się więc długo, przybywają do Paryża, a lubo z wszelkich wiadomości ku temu potrzebnych ogołoceni, nie wahają się założyć pismo pod tytułem *La France musicale*, które biczem Attyli stało się dla artystów i poważało się opinią publiczną kierować. Zrećnością bracia Esendier doszli do tego, że ludzie tacy jak Liszt, Vieuxtemps, Thalberg, Sivori i inni kłaniali im się, różnemi sposobami o łaskawe względy się dopraszając. Kto wzmiankę korzystną w gazecie chciał otrzymać, musiał na koncertach przez tych panów wydawanych darmo grywać i kompozycje swoje bezpłatnie do druku im dawać, a wtedy znalazły się sztuki magiczne, któremi talenta nader mierne, o ile się to tylko dało, do apoteozy wielkości podnoszono.

I u nas krytyka muzyczna nie dosięgła także wysokiego stopnia rozwoju. Posiadamy w niej jedno tylko nazwisko Sikorskiego, które wprawdzie za wiele innych starczy, nazwisko jakim każda literatura

muzyczna słusznie i sprawiedliwie poszczyciły się mogła. Pan Sikorski jest człowiekiem z żelaza wycutym; nic sprawiedliwości jego zachwiać nie potrafi. Jego sumienie artystyczne, to najtwardszy dyament, którego nie przemogą żadne wpływy, na słabych śmiertelników urok łagodzący wywierające. Jedno tylko powazylibyśmy się zarzucić temu weteranowi zasłużonemu, niezmordowanemu a jedynemu na polu literatury muzycznej, oto zamało względności na braki i słabości ludzkie. Niepodobna taką samą miarą mierzyć postacie wiekowe, którym dano wielkie prawa dy światu objawiać, co talenta w cieniu ukryte, które



JÓZEF LUBOWSKI. (Podług szkicu rys. w r. 1853 przez J. Kossaka).

pracą i usilnością wyżej trochę nad poziom wzbijwszy się, pragnęłyby szczerze społeczeństwu się wysłużyć. Pochlebstwo bezwątpeństwa zabija, ale zbyttnia znów surowość zraza; są to ostateczne dwa krańce, których unikać nie umiemy. Ten lub ów porównywany bywa z Hummlem, bez względu na to że Hummel to olbrzym fortepianowy, człowiek najczęściej natchniony, korzystający dzielnie z zasobów głębokiej znajomości sztuki, kompozytor po którym odziedziczyliśmy niezatartą pamięć dzieła, na jakich, jeżeli warunki piękna się nie zmieniają, Bóg wie jak odległe pokolenia uczyc się będą. Z drugiej jednak strony praca staranna ma to do siebie, że radaby znaleźć poparcie, zachętę;

jest to bowiem kwiat, który aby nie usechł przed czasem, pielęgnować potrzeba. Zapewne w innych krajach, w Niemczech naprzykład lub we Francyi, talenta na jakie my tutaj baczniejszą zwracamy uwagę, mniej wzbudzają zajęcia; ale chcąc talent osądzić sumiennie, należy go odnieść do epoki w której działa, zbadać okoliczności rozwojowi jego towarzyszące i być sędzią sprawiedliwym zawsze, lecz i wyrozumiałym zarazem.

Pamiętamy jeszcze wszyscy przesąd ogólnie niemal rozpowszechniony, że Polak to dziecko natury, stworzone do lemieszka, któremu chcieć się pokusić o uprawę sztuk pięknych, byłoby śmiechu godnym, mozołem wcale nieopłaconym. Więc cudzoziemców, częstokroć daleko mniej od nas usposobionych, na rękach noszono, gdy my, pozbawieni wiary w siebie, szamotaliśmy się walcząc z losem i szukając poparcia we własnych tylko siłach i w nadziei lepszej przyszłości.

Od tej pory okoliczności się zmieniły. Chopin, poeta natchniony, wyśpiewał na ulubionym przez siebie instrumencie nową nutę, a świat cały nuty tej z zapalem wysłuchał. Moniuszko z pieluch wydobył operę do pełnej godności podniósł i nią scenę krajową ozdobił. Dobrzyński, walcząc z cudzoziemcami o lepszą, za symfonią na tle rodzinnym osnutą palmę pierwszeństwa otrzymał. Wirtuozi jak: Kątsy, Wieniawscy, panna Brauman, Zarzycki, Lubowski i inni Europę okazyli, zyskując oklaski i zbierając talentem niezaprzeczoną przynależną im wawrzyny.

Powiedziałem wyżej że talent to krzew, który, by zdrowo wyrósł i dobry wydał owoc, potrzebuje starannie uprawionego gruntu i troskliwej nad sobą pieczy. Tymczasem nasi artyści, szczególnie w innych prowincjach dawniej Polski, jeśli w czasach które zapamiętać mogą doznawali jakiejś opieki, to chyba tylko Boskiej. Weźmy naprzykład dawniejszy okrąg wolnego miasta Krakowa. Nie wiem czem się to działo, że ludzie tam spali tak twardym snem, jakby krom siebie wcale świata nie znali. Prawda, życie tanie, zarobek łatwy, brak wszelkiej troski o jutro, usposabiał do podobnego letargu, a przy ciągłych organizacjach i zmianach, tylko, niezmordowanej gorliwości mężów jak Tyrchowski, Kulawski, Mecherzyński, Knapczyński i inni zawdzięczać należy, że młodzież w szkołach jakotako przysposobiona, mając uczciwe zasady wpojone, wyrosłszy na ludzi pracą własną, pomieszczenie wśród społeczeństwa znalazła. Co się zaś tyczy sztuk pięknych, istniała tam wprawdzie za dziecinnych lat moich bursa muzyczna, ale w tej organista Gorączkiewicz był alfą i omegą, nikomu sprawy z czynności swoich nie zdając. Miałoby to dalece wyższy pojęć o sztuce nie miało, że grzechem było o Beethovenie się odezwać, a nigdy nikomu do głowy nawet nie przyszło, by dzieł po-

ważnych w handlu muzycznym zażądać, bo i któżby takie starzyzny sprowadzał?

Koncert był zjawiskiem niesłychanym, całe miasto obchodzącym, a kiedy znacznie później, bo w r. 184..., Liszt zjawił się w Krakowie, właściciel hotelu w którym genialny wirtuoz miał zamieszkać, niejaki Knotz, Węgier wprawdzie, a więc rodak słynnego wirtuoza, kazał takowy od góry do dołu oświetlić. Miasto niezwykle się ożywiło i pomimo dukatowe bilety, trzy koncerty były przepelnione, a stary kasztelan Weżyk witał mistrza stosownym wierszem, w którym gardząc złotem, zazdrościł mu sławy w świecie zdobytej. Dzisiaj nie znalazłby się podobno człowiek dosyć naiwny, aby tym rzadkim kruszcem pomiatać.

Malarstwo, reprezentowane przez Statlera i Głowackiego, rozwijało się jak mogło. Budownictwo, rzekłszy bezstronnie, posuwało się żółwim krokiem. Ze nie przesadzam, dosyć spojrzeć na dwie z owej epoki budowle, któremi są teatr, do kamienicy na placu św. Szczepana przylepiony, różniący się tym chyba od innych domów, że na sklepieniu jego wypisano: *Senatus populisque cracoviensis erigit etc.*, i kolegium św. Jana, którego gzymsy dla upiększenia ozdobiono figurami, mieszczącymi w sobie rynnę ściekłą, dęszczówkę wyrzucającą.

Sejm, dla zaradzenia ubóstwu muzycznemu, sprowadził z Włoch przebywającego tam Franciszka Mireckiego, artystę zdolnego, a nadto utworzył szkołę muzyczną, złożoną z katedr śpiewu teatralnego (Fr. Mirecki, etat 1600 złp.), śpiewu chóralnego (Gorączkiewicz, 400 złp.) i dętych, z tymże samym etatem. Konserwatorium to małe, pod dozór dyrektora instytutu technicznego oddane, do dnia dzisiejszego żywo swój wlecze. Mirecki, człowiek czynny, energiczny, wziął się rąco do pracy. Jakoż około roku 1846 złożył zamówienie na operę, która wkrótce przed upadkiem wolnego miasta, wraz z wyborem dramatem i komedią, umiejętną ręką Meczysławskiego prowadzoną, zniknęła. Sejm powyznaczał stypendya, celem wysyłania zdolniejszych po światło zagranicę. Stypendya jednak te, wynoszące po tysiąc złp., zaledwie wystarczały na podróż. Starano się zaradzić złemu, zlewając dwa stypendya w jedno; lecz i to korzyści przewidywanych nie przyniosło, choćby ze względu koteryjek i faworów, nieuniknionych w małym zwłaszcza mieście jak Kraków.

W tak niekorzystnych warunkach dla rozwoju sztuki urodził się w Krakowie r. 1824 Józef Lubowski. Wprawdzie Haydn, biedny syn kołodzieja w małej mieścinie Eisenstadt, we własnych tylko siłach zasobów szukając, potrafił świat oczarować i tytuł ojca symfonii pozyskać; ależ bywają ludzie, którzy światło i wzory, niby hojni bogacze złoto, ubogim w darze rzucają; inni zaś, depcząc zrazu cudzemi śladami, iskierkę własnej samodzielności zwolna rozniecają, aż wreszcie w nagrodę szlachetnej pracy uznania zyskują.

Lubowski w liceum krakowskim pomieszczony, tamże nauki humanitarne zaszczytnie ukończył, a dbając statecznie o umysłowe swe wykształcenie, wyróżniał się tym od wielkiej liczby artystów, tracących cały urok w obec społeczeństwa, gdy im się talent, niby tabołek z pleców podróżnego, odejmie. Zdolność do muzyki Lubowski okazywał z dzieciństwa, czem zachęceni rodzice, powierzyli go używającemu wtedy w Krakowie wziętości nauczycielowi fortepianu Giermaszowi. Ś. p. Józef wolne od pracy szkolnej chwile poświęcał z zapałem muzyce, a szybkie czyniąc postępy, w 13-tym roku życia wystąpił w rodzinnym mieście z publicznym koncertem, który imię jego tamże rozpowszechnił. Powodzeniem zachęcony, idąc za poradą rodziców, przyjaciół i wreszcie za głosem własnej skłonności, postanowił zupełnie muzyce się poświęcić. Wysłany kosztem ojca do Pragi, wstąpił młody Lubowski do konserwatorium pragskiego, zostającego wtedy pod światłym kierunkiem doświadczonego Tomaszka.

Praga należała zawsze do rzędu miast muzycznych. Konserwatorium pragskie, dobrze obsadzone, wielu wydało artystów głośnej sławy, że zaś stale przechowało się tam ziarno zdrowe nauki, świadczą o tym wirtuozi jak Dreischok, wespół z Lubowskim kolegujący Schulhof i obecnie pojawiający się kompozytor Władysław Żeleński, któremu, mówiąc nawiasem, jeżeli okoliczności posłużą, najświetniejszą wróżbę można przyszłość. Sześć lat przebytych w Pradze użył Lubowski jak można najkorzystniej,

kształcąc się w grze fortepianowej i w zasadach kompozycji. Dzisiaj, gdy mechanizm do bajecznych posunięto granic, gdy obok wrodzonego talentu lata trawić trzeba, chcąc osiągnąć mistrzów w świecie znanych, niepodobna w krótkim czasie podjąć ogromnego zadania. Musiał jednak Lubowski szybko czynić postępy, bo świadczy o tym koncert dany przez niego w Pradze, w którym powszechnie zyskawszy pochwały, porównany w pismach publicznych z Schulhofem, odznaczył grę swoją pięknym uderzeniem, czystością, jasnością i pojęciem. Mówi także na jego korzyść świadectwo dyrektora instytutu Tomasza, oddające należną sprawiedliwość gorliwej pracy Lubowskiego i przyznające mu wysokie uzdolnienie w nauce teorii muzycznej, a mianowicie w harmonii, kontrapunkcie i fudze.

Skończywszy studia, młody wirtuoz puścił się na wędrowkę artystyczną, zbierając gdziekolwiek występował wawrzyny. Wątlęgo wszakże zdrowia, zapragnął w spokoju dla sztuki pracować i usługi swe w kraju miłośnikom muzyki poświęcić. W tym celu przybył do Warszawy w r. 1845, gdzie działalność swą rozwinął, to grywając na wieczorach w resursie, to sam je urządzając. Świetny talent wykonawczy, wnet go w rzędzie pierwszych nauczycieli postawił, a umysłowo oglądany, posiadając wszystkie przymioty, które w towarzystwie ludzi ukształconych bywają pożądane, w krótkim czasie pozyskał wziętość i lekcyjami był zarzucony. Przejęty tą prawdą, że jak w nauce każdej, tak i w sztukach pięknych, kto ustawicznie nie pracuje, ten koniecznie cofać się musi, Lubowski w samej już Warszawie znakomicie postąpił. Gra jego zyskała na lekkości i wytworności; wyrabiał w sobie pewną indywidualność, która szczególnie uwydatniała się w pięknym dotknięciu klawiszów, w oktawach i w tremolo sobie właściwym, wiele efektu sprawującym. Zagrożony chorobą piersiową, widocznie podupadał na zdrowiu i na siłach. Przyjaciele odrywali go od ulubionych mu zajęć, bo muzyka na zwątlony jego system nerwowy szkodliwy wpływ wywierała. Mocno już osłabiony, zapragnął raz jeszcze ujrzeć mury Krakowa ukochanego, uściśnić tam rodzinę i w starym grodzie, gdzie pierwszy raz ujrzął światło dzienne, reszty życia dokonać. Jakoż wkrótce po przybyciu do rodzinnego miasta, w dniu 10 kwietnia 1855 r., zaledwie zanuciwszy pieśń, której nie miał czasu w szeroki poemat rozwinąć, podążył w lepszą krainę, w to zbiorowisko ogólnej harmonii, miłości i wiecznie trwającego pokoju, których twórcą jest Bóg.

(Do kończenia nastąpi)

Kronika tygodniowa.

Czuje dobrze obowiązek jaki do mnie ciąży, napisania czegoś o śniegu.

Ale o śniegu tyle już pisano!...

Tyle rzeczy wdzięcznych i strasznych, białych i... czarnych, chociaż te ostatnie do śniegu zdawałyby się wcale nie przystawać.

A jednak przynajmniej na obfitość materiału skarżyć się nie można; od kilku dni bowiem spada u nas śniegu moc wielka i Warszawianie cieszą się prawdziwie zimowym widokiem, który już od kilku lat wcale im nie dopisywał.

Możeście się nie zastanowili nad pewną szczególnością miasta, kiedy ulice suto śniegiem usłane, dozwalają sennie pełnego rozwoju.

Oto pomimo zdwojonego ruchu, zdawałoby się że ono w śnie jest pograżone.

Bo w istocie rzeczywistym życiem miejskim jest bezustanny turkot powozów, ów turkot, który do rozpacy przyprowadza wieśniaków, kiedy noc im w wielkim mieście przepędzić przyjdzie. Każdy z nas przyzwyczał się już do tego potrosze, ale dziwna zaiste rzecz, ile każdy powóz pod oknami przejeżdżający zrzęda niepokoju w naszych domach, które pod względem trwałości budowy wcale z piramidami egipskimi o lepsze iść nie mogą. Więc najprzód szyby w oknach odzywają się przeciągłą muzyką, posadzka ulega wstrząśnieniu, wszystkie sprzęty ponurym odpowiadają echem, a małe graciki stojące na stolikach, tualetach, konsolach, rozpoczynają taniec wtórzający każdemu nowemu kół poruszeniu. Jest to trzęsienie ziemi na drobną skalę, trzęsienie które się co chwila powtarza i w którym

każda dorożka wałęsająca się po bruku, odgrywa rolę podziemnego wulkanu. Frazes w pół dokończony urywa się nagle, niedostłyszaniem brzęcząc słowami. Jest to jak gdyby jakaś obca inwazyja, spadająca na nas przy najspokojniejszym zatrudnieniu lub zabawie.

A niech-no przytém zdrowie nasze znajdzie się w nienormalnym stanie, niech nam dokuczają ból głowy, albo to nerwowe usposobienie, od którego żaden z nas mieszczuchów zupełnie wolnym być nie może: w takich razach ów bezustanny turkot staje się dla nas prawdziwą męczarnią i przeklinamy ludzi którzy dla interesów lub zabawy korzystają z ułatwień lokomocji miejskiej.

A czasem także, zwłaszcza w chwilach w których pragniemy spoczynku, owo nagle wstrząśnienie murów i podskakiwanie podłóg staje się dla nas powodem smutnych rojeń. Przypominamy sobie historie o starych domach które się zawaliły, o nowych budowlach w których *spekulacyjnie* postawione ściany nie wytrzymały nawet mieszkalnej próby, i z niepokojem spoglądamy naokoło siebie, czekając rychło te mury, ulegające ciąglemu wstrząśnieniu, zacząć się rysować, sufit się opuszczać, a podłoga zniknąć nam z pod nóg, jak siedmiu wodzom podczas sławnego Teb obłężenia.

Ale zima, hojnie wysławszy śniegiem ulice miasta naszego, daje wypoczynek wszystkim tym niedogodnościom, niepokojom, obawom. Cieszymy się spokojem i wygodą na równi z tymi chorymi, którzy każą słomą wyściełać bruk przed oknami swoich mieszkań, dla uniknięcia ulicznego hałasu. Co chwila tylko dolata uszów naszych odgłos dzwonka, a dzwonek to rozweselająca rzecz, to jedna z tych ożywczych nut życia, które dla ucha umięjącego je zrozumieć w ożywczej zlewa ją się harmonią.

A przytém ten biały, jednostajny kolor, to wypoczynek dla oka różnością barw znużonego. Zima bez śniegu wydaje się jak gdyby krzywdą nam wyrażoną; upominamy się o swoją własność, która w błocie się rozplynęła. Kiedyśmy zimę bez śniegu przebyli, wiosna traci dla nas powaby swoje, bo braknie nam punktu porównania, bez którego nie rzeczywiście pięknego nie może istnieć na świecie. Śnieg więc jest dla nas dobrodziejstwem, a w bieżącym roku tak hojnie jesteście nim obdarzeni, że nawet wagony komunikacyjne na miejskiej kolei konnej przestały na parę dni chodzić.

* * *

Zapowiedziane wykłady publiczne profesorów Szkoły Głównej na dochód niezamożnych studentów téjże szkoły, rozpoczęły się już dwoma odczytami profesora Papłońskiego, o początkach mowy ludzkiej. Przedmiot to tak obszerny, że pomimo usiłowania szanownego profesora, nie mógł on znaleźć w dwóch odczytach dostatecznego pomieszczenia, i zapowiedzianą klasyfikację języków trzeba było na późniejszy czas odłożyć.

Jedną z ważniejszych cech dzisiejszego rozwoju nauk jest to, że wspomagają się one wzajemnie, tak że pracownicy na różnych zdawałoby się, odległych od siebie polach, muszą koniecznie iść ręką w rękę. Fizyka podpięra chemię, geognoza przychodzi w pomoc historii, statystyka ważne oddaje przysługi medycynie, a jak pan Papłoński w ostatnim swoim odczytaniu dowodził, zastanawianie się nad formą języka i naturą obcych pierwiastków do niego naniesionych, może, w braku nawet wszelkich danych historycznych, dozwolić nam odtworzyć przeszłość całą narodu w jej dziejowym przebiegu. Z tego zdawałoby się nasuwać wniosek, że poznawszy naturę pierwotnych języków, będziemy mogli jaśniejsze mieć wyobrażenie o tych pierwiastkowych dziejach świata, które wiekami oddalone od nas, w chmurze mistycznych podań zupełnie prawie zatoneły. I byłoby tak bezzawodnie, gdyby w badaniach językowych większa część danych jakie sobie wyrobiliśmy, nie opierała się na mniej więcej prawdopodobnych przypuszczeniach. Przychodzi ktoś i *ad hoc* stawia sobie systemat, ale niezadługo zapatrujący się z innej strony przeciwnik zbija jego zdanie i dowody przez tamtego z wielką pracą wyszukiwane, przeciwko niemu obraca. Że *Zenda West* naszą *świętą wieść* naczy, być bardzo może; niemniej jednak na przypadkowym może brzmień podobieństwie żadnego pewnika oprzeć nie można.

Zgodnie ze zdrowym pojęciem rzeczy i sumiennymi

przekonaniami religijnymi, pan Papłowski dowodził, że mowa wszystkich ludów obszar ziemski zamieszkujących, z jednego pochodzi źródła, a zatem nauka żadnego pewnika przeciwstawić nie może biblijnym podaniom, które od pierwszego mężczyzny i pierwszej niewiasty początek rodu ludzkiego wywodzą. Nic nie przeszkadza Chińczykowi nauczyć się po polsku, ani Polakowi włączyć starym meksykańskim językiem. I to także pocieszającą jest rzeczą, że mowa ludzka, która tyle wiekopomnych arcydzieł na świat wydała, którą posiłkując się obszar wiedzy do tak zadziwiającego doszedł wzrostu, nie wzięła swego początku ze skręcenia żab, albo ponurego odzywiania się puszczyka w samotnych zwaliskach. Czy jednak badania mistyczne Fabr'a d'Olivet i jego naśladowców nad pierwotnym językiem, niegdyś wszystkim ludom wspólnym, doprowadzą do jakiego rezultatu, o tym wątpić należy. Nauka odrzuca wszelkie hipotezy, nie spoczywające na danych mających wyrozumowalny punkt oparcia. Od kilkudziesięciu lat badania lingwistyczne daleko się posunęły i dozwoliły przynajmniej ludom europejskim oznaczyć jeden pewny punkt wyjścia.

Ciekawe to wszystko i zajmujące, a pan Papłowski, sumiennie zbadawszy przedmiot, rezultat tych swoich badań jasno i dobitnie wyłożył słuchaczom. Czy jednak nauka w najwyższym swoim rozwoju, bez poprzednich studyów przygotowawczych, dla wszystkich dostępną się okaże, czy etymologiczne dowody szanownego profesora w wielu bardzo przysłuchujących się im nie znalazły jedynie *succés d'estime*, to jeszcze jest rzecz do rozstrzygnięcia. Tyle jednak pewna, że pierwszy odczyt, a zwłaszcza konkluzja jego, w której prelegent rzeczywiście początek mowy przypisywał pierwszemu pojawieniu się na świat kobiety, podobała się wszystkim. Kobiety upatrywały w tym dla siebie zaszczyt, mężczyźni pewną myśl złośliwą, której nie śmiemy tutaj dobitnie wyrazić. Niezawodnie w tej mowie, do której utworzenia tak przeważnie się przyłożyły, kobiety pozostały dotąd naszymi mistrzyniami. Żaden najwytrawniejszy mówca nie zdoła poszczycić się tak przeważnymi argumentami, jakie znajdzie na swoje usługi kobieta, jeżeli chcą na swą stronę przechylić szalę przekonania. Prawda i to, że na mowę nie sam tylko dźwięk głosu się składa, ale wyraz twarzy, uśmiech, blask oczów, urok niewysłowiony postaci, ta niepojęta władza, którą każda piękność na nas wywiera. Wyraz „kocham“ musiał być pierwszym na jaki się usta mężczyzny w obec kobiety otworzyły i odgadł to Jan Jakub Rousseau, kiedy posągowi tchnieniem bożem ożywionemu kazał powiedzieć „jestem!“

Ale dość tych zbroceń, obcych może przedmiotowi, które wcale w skład dowodów uczonego profesora nie wchodziły, a na które pociągnęła nas poetyczna strona kwestyi, niechcący może przez prelegenta zaciepioną. To jednak jest rzeczą niezawodną, że jeżeli kobiety umieją mówić, to i milczeć także potrafią, a dowiodły tego zebrawszy się licznie na odczyt i wysłuchawszy go z całym skupieniem uwagi, pragnącej wiedzę nowymi z bogactwami skarbnicy.

* * *

Towarzystwo Dobroczynności zapowiada nową loteryą fantową, w której liczba biletów, tym razem trochę podwyższonych w cenie, bo ze złotówki na pięćdziesiąt groszy, wynosić będzie sześćdziesiąt tysięcy. Zapewne wkrótce rozpoczęte zostaną stosowne w sklepach zakupy fantów, które mają za wygrane służyć. Otóż poważamy się tu jeden przedstawić wniosek.

Fanty te zakupywane zwykle bywają w większych składach, zapewne dla oszczędności na cenie, skutkiem hurtownych zakupów. Ale w Warszawie istnieje mnóstwo pomniejszych sklepów, utrzymywanych przez niezamożnych ojców rodzin, biedne wdowy i t. d., dla których sposobność zbycia od razu pewnej ilości towarów za gotówkę bardzo rzadko się zdarza. Dla większych składów jest to rzeczą powszednią i zwykłym obrotem handlowym, dla mniejszych dobrodziejstwem prawie; wątpimy zaś żeby w cenie mogła zachodzić jaka różnica.

Ale najgłówniejszym tu względem jest sam cel loteryi fantowej. Loterya ta ustanowiona została, na korzyść Dobroczynności, a przez wspieranie niezamożnych przemysłowców, korzyść ta podwójnie się osiąga. Nie ci są najubożsi, którzy zebrają; istnieją inni, daleko więcej zasługujący na wsparcie szuka-

jący dla siebie ratunku w pocziwłej pracy, która często im się z pod rąk wymyka. Nieraz taki drobny sklepik służy za utrzymanie licznej rodziny, która przy niedopisaniu dziennego targu, bez najpierwszych potrzeb obywać się musi. Sądźmy zatem, że rzucana przez nas myśl zakupywania fantów na loteryą dobroczynną w małych sklepikach, powinna znaleźć chętne uznanie u członków do tych zakupów delegowanych, tém bardziej że nie stanie się to ze szkodą instytucji, która w każdym razie za fanty płacić musi.

Przy wyliczeniu fantów w skład przeszłej loteryi wchodzących, zdziwiło nas także niepomaniu że nie było tam ani jednej książki. Wszakże książka użyteczniejszą i praktyczniejszą jest rzeczą od przycisku albo byle jakiej skorupki i nie wątpimy że wygrywający byłiby bardziej zadowoleni z użytecznego dziełka, aniżeli z kałamarzyka, dzwonka lub podstawki jakiej. Różnica zaś w cenie żadna, tém bardziej że na większej ilości księgarze mogliby zniżyć cenę swych nakładów. A kiedy idzie o loteryą, na którą pieniądze ogółu się składają, i księgarze także zasługują na poparcie, bo ze wszystkich obecnie gałęzi handlu, księgarstwo najmniej go może znajduje. Spodziewamy się więc że przy urządzeniu przyszłej loteryi, ta proskrypcya książek zniesioną zostanie, i zakupujący losy będą mogli cieszyć się nadzieją użyteczniejszej i praktyczniejszej wygranej.

* * *

Z góry już wiele z pism naszych zapowiada szereg artykułów o wystawie paryzkiej. Tygodnik *Illustration* nie pozostanie w tyle za innymi, zamówiwszy sobie *ad hoc* dwóch specjalnych korespondentów, którzy szczegółowe opisy wystawy, wraz z ogólnym na nią poglądem i rysunkami na miejscu wykonywanymi, regularnie przesyłać mu będą. Z Warszawy wybiera się kilku sprawozdawców i przez nich będziemy mieli dokładne wiadomości o rzeczach najbliższych nas obchodzących.

Tymczasem *Kurier Codzienny* rozpoczął już przedwstępne opisy przygotowań do wystawy, które pod rubryką *Rozmaitości* zamieszcza periodycznie, przyrzekając pomnożyć je znacznie, wraz ze zwiększeniem działalności wystawy. Opisy te skrócone są przystępnie i popularnie, jak właśnie przystoi na pismo tyle rozpowszechnione pomiędzy średnimi warstwami publiczności naszej. Już to gdyby chcieli złożyć wszystko co o tej wystawie się napisze, gdyby zebrać w jedno wszystkie przewodniki, opisy, sprawozdania w rozmaitych językach drukowane, niewątpliwie zebrałaby się z tego jedna z najzasobniejszych bibliotek na kuli ziemskiej. Całe zeszłe wieki nie złożyłyby się może na tyle zadrukowanego papieru, ile go ten jeden rok przysporzy. W tym właśnie leży potęga, a może i słabość obecnej naszej cywilizacji, że chwila bieżąca jest wszystkim dla nas. Ale cały ten nawał zajęcia przemienie tak szybko jak i powstał, a nowe wrażenie zatrza dawne, śladu prawie po nim nie zostawiając. W każdym razie wystawa, jeżeli dojdzie do skutku, potrafi przez znaczną część roku bieżącego zwrócić na siebie wyłącznie uwagę nie tylko Europy, ale całego ucywilizowanego świata; słuszną więc rzecz, ażebyśmy nie wyłączać się z pod ogólnej zasady, dołączyli nasz głos do tego powszechnego chóru.

Przed kilku dniami wyszedł zeszyt *I Pamiętnika naukowego, literackiego i artystycznego*, wydany przez nową już redakcją, na której czele stoi p. August Jeske, znany z różnej treści artykułów pomieszczanych w pismach tutejszych. Z jednego zeszytu sądu wydawać niepodobna; przyznać jednak należy iż ten który mamy przed sobą stanowi całość pełną i ponętnie zaokrągloną. Od studyów literackich i artystycznych do filozofii, od belletrystyki do krytyki i bibliografii, znajdujemy tu artykuły bardzo pocześnie działające swe przedstawiające; jeden tylko dział poetycki nie jest wcale reprezentowany, nie wiemy czy z zasady, czy dla braku prac odpowiedniej wartości. Bądź jak bądź, życzymy nowej redakcyi, aby *Pamiętnik* swój na tej wysokości statecznie utrzymał, a wtedy niezawodnie pozyska on sobie uznanie i materialne poparcie publiczności.

Przegląd polityki zagranicznej.

25 stycznia.

Już w dniu 20 b. m. telegramy paryzkie zawiadomiły nas o zmianie gabinetu we Francji, a z nim i systematu obecnego rządu; były to wszakże tylko ogólniki, nacechowane lakonizmem właściwym wszystkim depešom i nieobjaśniające dostatecznie rzeczy. Dziś, po przeczytaniu listu Napoleona III do ministra stanu Rouher i artykułów zamieszczonych w *Monitorze*, możemy dać czytelnikom naszym krótkie lecz treściwe sprawozdanie o tém co zaszło. W liście do p. Rouher, cesarz Francuzów oświadcza, iż od kilku lat zastanawiał się nad tém, czy obecne instytucje cesarstwa doszły do kresu doskonałości, czy też należy je ulepszyć. Ostatecznym wynikiem namysłu było to, że rodząca się niepewność musi ustać i że cesarz może nadać instytucyom nowy rozwój, przez zwiększenie swobód publicznych, i to bez ujmy władzy jaką mu naród powierzył. Z tego powodu dotychczasowe rozprawy nad adresem znoszą się i wprowadza się prawo interpelacji. Wszyscy ministrowie mają być obecni na posiedzeniach i odpowiadać na interpelacje deputowanych. Drugim ustępstwem jest oddanie prasy pod jurysdykcya zwykłych sądów. Trzecim nowe przejrzenie i ułożenie prawa o stowarzyszeniach. Główną przyczyną tego nowego kierunku jest bezwątlenia ostatnia w Niemczech kampania, która wykazując przyszłą potęgę Niemiec dążących do jedności, obudziła w społeczeństwie francuzkiem zawiść i obawę. Ztąd nowe projekta reorganizacji armii francuzkiej, ztąd zachwianie uroku potęgi i znaczenia Francji, ztąd poruszenie się opozycyjnych żywiołów legitymistycznych, orleanistów, i t. p., ztąd wreszcie naturalna chęć rządu uspokojenia poruszonych umysłów, bo, jak powiada *Monitor* z dnia 21 b. m., rząd pragnie gorąco objaśnić pobudki kierujące jego postępowaniem w polityce zewnętrznej i oddać je pod ocenienie wielkich ciał państwa. Nowa lista ministrów francuzkich jest następująca: Rouher minister stanu i skarbu, marszałek Niel wojny, Rigaud de Genouilly marynarki, Forcade Laroquette robót publicznych. PP. Moustier, Lavalette, Duruy i Baroche pozostają na swych dawnych stanowiskach.

W górach Libanu wszczęły się nowe rozruchy, na hasło dane przez znanego już ze swych działań Józefa Karama. Wiadomości odebrane z Bejrutu ograniczają się na zaznaczeniu, że Karam, po starciu z bandami libańskimi, uwięził władze rządowe i zebrał około 300 zbrojnych, depeša zaś z Konstantynopola z dnia 22 b. m. donosi, że Daud-basza, na czele 3,000 ludzi, udał się do Kesruan, prowincyi zbuntowanej przez Karama. Zajścia te na Libanie są małym tylko epizodem w palącej się kwestyi wschodniej, przekonywającym o ile rządy Turcyi sprzykrzyły się plemionom zamieszkującym to państwo.

Pomimo optymistycznych zapewnień niektórych dzienników austriackich, spór korony z Węgrami nie został dotąd załatwionym. Politik, pismo wychodzące w Pradze, zapewniało, że dekret ustanawiający ministerium węgierskie jest podpisanym i podawało listę członków: pp. Deak, Eötvös, Sennyey, Forgach. Tymczasem urzędowa *Wiener Ztg.* zaręcza, że pomimo pomyślnego biegu układów z Węgrami, osobne ministerium nie może być teraz mianowane, chyba za uchwałą nadzwyczajnej rady państwa, i że nawet posiedzenia sejmu peszteńskiego chwilowo zawieszono zostaną. Z drugiej strony z Wiednia donoszą, że wkrótce ukaże się reskrypt cesarski, dotyczący odrębnego dla Węgier gabinetu. Według ostatnich z Wiednia wiadomości, wybory dokonywane się obecnie wypadają przeważnie na korzyść Słowian i to tak dalece, że nawet w Styryi, kędy ludność niemiecka przeważa, żywioł słowiański odniósł w kilku okręgach stanowcze nad centralistami zwycięstwo.

Ostatnie depešy. *Peszt 22 stycznia.* Dziennik *Hon* donosi, że układy delegatów sejmu peszteńskiego z p. Beust uwięzione zostały pomyślnym skutkiem. Przywrócenie dawnych praw w całości, tak zwana *restitutio in integrum*, ma być faktem dokonanym.

(W. T. B. Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. France).

Nowa Praga pod Warszawą.

Gdzie tylko przemysł roztacza potężne swe panowanie; gdzie handel sturamiennymi odnogami ściąga kapitały i ześrodkowuje je w jednym ognisku; gdzie ułatwione komunikacje, jak drogi żelazne, spławne rzeki i kanały, lub choćby drogi bite, skupiają w danym punkcie płody i wyroby dalekich nie raz producentów; gdzie wreszcie bogactwo przyrodzone ziemi, kopalnie różnego rodzaju i t. p. zgromadzają licznych przedsiębiorców i pracowników; wszędzie tam zwykle powstają szybko osady i miasteczka, które nieraz w krótkim bardzo czasie świetnie się rozwijają i do olbrzymich dochodzą rozmiarów. I nie może też być inaczej: przemysł i handel na większą prowadzony skalę, to mają do siebie, że przyciągają zewsząd siły produkcyjne i kapitały, a za tąd, naturalnym biegiem rzeczy, idzie skupienie się ludności i stałe jej osiedlenie się. W takich więc ogniskach przemysłowych, jakby za dotknięciem różyczki czarodziejskiej, tworzą się osady fabryczne, miasteczka i miasta, ożywiając ruchem pracowitym i skrzętnym puste niedawno okolice.

W krajach wyższe pod względem handlu i przemysłu zajmujących stanowisko, przykłady tak szybkiego rozwoju zdarzają się bardzo często: wielkie targowiska i centra produkcyjne wyrastają tam jak grzyby po deszczu, pod wpływem wszechwładnym stowarzyszonych kapitałów. U nas, przy skromnych środkach materyalnych i niewielkiej w ogóle pochyłości do zajęć przemysłowych, jedyny dotąd świetniejszy przykład nagłego wzrostu przedstawia Łódź, która w lat kilkanaście z małej miasteczki stała się pierwszym po Warszawie miastem. Podobna, jak się zdaje, przyszłość czeka i Pragi, która dotąd jakoś podążyć nie mogła za starszą swą siostrzycą na lewym brzegu Wisły. Praga stanowi 12-ty cyrkuł Warszawy, a położona nad pierwszorzędną rzeką spławną, posiada wszelkie warunki rozwoju i staćby się powinna kiedyś drugą połową wielkiego grodu, przeciętego w środku korytem Wisły. Dotychczas jednak dwa główne powody stały temu na przeszkodzie: brak komunikacji stałej z Warszawą i niebezpieczeństwo zalewu nizin nadwiślańskich, skutkiem corocznych wezbrań rzeki. Pierwsza z tych przyczyn od lat już kilku została usunięta, przez wzniesienie wspaniałego mostu kratowego, który łączy dziś oba brzegi; druga usunięta być może, po zebraniu dostatecznego funduszu na zbudowanie bulwarów i wałów ochronnych. To też widzimy, że w latach ostatnich nieruchomości i gruntu na Pradze znakomicie podniosły się w cenie, do czego wiele przyczyniło się i pomieszczenie tam dwóch głównych stacyj dróg żelaznych warszawsko-petersburskiej i warszawsko-terespolskiej. Ale niedosyć na tąd: tuż pod oczami naszymi, w przeciągu

lat kilku, na prawym brzegu Wisły powstało osobne miasteczko *Nowa Praga*, nieznanne dotąd dokładnie większej nawet części mieszkańców Warszawy. O tąd to nową siedzibę podajemy czytelnikom naszym wiadomość, zaczerpniętą z miejscowych źródeł i objaśnioną stosownymi rysunkami.

Jeszcze w roku 1856 wytknięcie linii osi stałego mostu doprowadziło do wniosku, że w niedalekiej od

z urąganiem, czém jednak nie zrażony p. Konopacki, postanowił prowadzić dalej z wytrwałością swoje plany, czekając tylko pory sposobniejszej.

Tymczasem w r. 1860 kompania francuzka, w dalszym wykonaniu projektu rządowego budowy drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, zmieniła plan co do miejsca wzniesienia dworca głównej stacji prąskiej i nabyła w tym celu od p. Konopackiego przestrzeń przeszło 100,000 łokci kwadratowych około rogatki Żąbkowskiej. Tym sposobem cały obszar zaludni się mający przecięty został na dwie połowy, z których północna, zawierająca około 650,000 łokci, pozostała przy p. Konopackim, południowa zaś jest własnością pp. Kurakowskiego i Bryła. Przy postępie robót ziemnych, grobla budującej się kolei, na 5 stóp wysokości wzniesiona, stała się dla części północnej wałem ochronnym przeciw wylewom Wisły, i wkrótce też postawiony tam został maleńki domek drewniany, w którym następnie odbywano narady i układano plany co do dalszego rozwinięcia osady. Obecnie domek ten na planie Nowej Pragi oznaczony jest Nr. 5.

Widoczny atoli wzrost Nowej Pragi zaczyna się dopiero od roku 1861. W roku tym dokonany został nowy podział terytorium zbywającego od potrzeb towarzystwa drogi żelaznej, podług planu litografowanego, którego kopią drzeworytniczą tu załączamy.

Całą powierzchnię podzielono na 100 numerów, to jest na tyleż oddzielnych posesyj, każda z tytułem własności i prawem oddzielnej księgi hipotecznej, warunki osiedlenia się udogodniono — słowem p. Konopacki z niepospolitą zdolnością organizatorską prowadził dalej prace około zaludnienia nowej tej siedziby. Gotowość jego do podzielenia się tytułem własności z nowonabywcami drobnych cząstek, skłoniła znaczną ich liczbę do osiedlenia się obok samego założyciela; a że nie każdy z aspirantów do nabycia gruntu był w posiadaniu kilkuset, a témbardziej kilku tysięcy złotych, właściciel przeto poprzestawał na pewnym zaliczeniu, pozostawiając resztę jako dług prosty na gruncie, z opłatą po 5%. Rekojmie pewności kapitału stanowiła tu jedynie pracowitość i zabiegłość nabywców, z których też kilku, przystąpiwszy do kupna z kapitałem około 100 rsr. wynoszącym, posiada dziś domy piętrowe wartości 3 do 4 tysięcy rs., żadnymi długami nieobciążone. Przypominamy że wszystko to stało się w przeciągu ostatnich lat pięciu.

Obecnie Nowa Praga posiada sto kilkadziesiąt domów, z 2,000 ludności, przy 11 ulicach, z których 6 wytknięto równolegle do głównej osi drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, a mianowicie Wileńską, Nowopragą, Strzelecką, Kościelną, Brudnoską i Grodzką. Z ulic tych Wileńska zaczyna się na Stariej Pradze od ulicy Brukowej, przechodzi ku Nowej Pradze przez wał czyli okopy Warszawy, w punkcie obecnie urządzonej nowej rogatki Wileńskiej, zmie-



Piérwszy dom wystawiony w Nowej Pradze w r. 1860.

nas przyszłości na prawym brzegu Wisły, po za obrębem Stariej Pragi, wzniesić się powinien obszerny i zamieszany gród handlowy; po wytknięciu zaś w parę lat później linii drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej wprost fortu Sliwickiego, przekonanie to jeszcze większej nabrało mocy, inaczej bowiem cała północna strona kolei pozostałaby bezludną.

W tąd założeniu sporządzony został plan nowej



Dom założyciela Nowej Pragi, p. Ksawerego Konopackiego, przy ulicy Środkowej.

osady, między rogatką Żąbkowską, a główną osią projektowanej drogi żelaznej. Myśl ta powstała w przedsiębiorczym umyśle p. Ksawerego Konopackiego, który nabywszy tamże na własność znaczny obszar gruntu, ogłosił r. 1858 trzykrotnie w *Kuryerze Warszawskim* sprzedaż pojedynczych placów. Zamiar ten przyjęto wówczas nie tylko obojętnie, lecz nawet

licach, z których 6 wytknięto równolegle do głównej osi drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, a mianowicie Wileńską, Nowopragą, Strzelecką, Kościelną, Brudnoską i Grodzką. Z ulic tych Wileńska zaczyna się na Stariej Pradze od ulicy Brukowej, przechodzi ku Nowej Pradze przez wał czyli okopy Warszawy, w punkcie obecnie urządzonej nowej rogatki Wileńskiej, zmie-

rza dalej ku wzgórzom piaszczystym i tam się kończy. Pięć innych ulic: Środkowa, Wspólna, Boczna, Nowa i Stolarska, ciągnie się prostopadle do poprzednich. Ulica Nowopragaska, 37 i pół łokci szeroka, stanowi komunikację przez folwark Targówek z drogą bitą radymińską; inne zaś ulice ztracają swe ślady pomiędzy wzgórzami piaszkowymi, za których spodziewanym zniesieniem będą mogły być w miarę potrzeby dowolnie przedłużone.

Nadmienić tu wypada, że ruch osadniczy rozciągać się już zaczyna po za terytorium p. Konopackiego, na grunta małemi cząstkami przez p. Kurakowskiego odprzedawane rozmaitym osobom. Część ta osady, w liczbie około 30 domów, zowie się Nową Pragą na Kurakowszczyźnie i leży przy tychże samych sześciu poprzecznych ulicach. Jak dotąd więc Nowa Praga składa się z dwóch terytorjów: *Konopaczyny* i *Kurakowszczyzny*; jest jednak niepłonna nadzieja, że wkrótce i inne terytoria przyległe znakomicie ją powiększą, przez odpowiednie potrzeby rozdzielenie na place do zabudowania.

Teraźniejsza ludność Nowej Pragi wynosi, jak już wspomnieliśmy, około 2,000, w tej liczbie właścicieli



Widok od dworca kolei warszawsko-petersburgskiej, ku ulicy Środkowej.

jak 1go maja r. b. została rozpoczęta. Przy tej to ulicy mieszczą się domy schludne zewnątrz i wewnątrz, odpowiadające wszelkim wymaganiom nawyknień miejskich, niektóre zaś z nich ozdobione są ładnymi ogródkami.

Oprócz pomniejszych posesyj, zachowane są w No-

tarne, kosztem stosunkowo bardzo małym.

Pierwsze potrzeby mieszkańców zaspokaja piekarnia, urządzona kosztem założyciela osady i wypuszczona w dzierżawę człowiekowi fachowemu, który całą ludność w chleb i bułki zaopatruje. Cztery jatki same się potworzyły, podobnie jak 20 sklepików, zaopatrujących rozmaite miejscowe żądania. Dla ułatwienia korespondencji, istnieje już od dwóch lat w Nowej Pradze ekspedycja pocztowa. Trzy szkoły czynią zadość wymaganiom elementarnej nauki. Rzemiosła, jakoto: szewstwo, krawiectwo, stolarstwo, szklarstwo, ciesielstwo, ślusarstwo, blacharstwo, kowalstwo, prowadzą się na małą skalę, stosownie do potrzeby. Są także dwie izby fclzerzkie, kilka akuserek i t. p. Utrudnionej komunikacji od rogatki Wileńskiej przez piasek głęboki, zaradzi się w niedalekiej przyszłości użyciem na ten cel funduszu ze sprzedaży posesyi N. 5, mającej 16,800 łokci kwadratowych powierzchni.

I oto cud, jaki w krótkim czasie stworzyła praca i wytrwałość, przy szczupłym stosunkowo kapitale. Oby cudów takich u nas dokonywało się jaknajwięcej!...



Widok z pola pragskiego na ulicę Strzelecką.



Dom p. Józefa Jankowskiego, przy ulicy Brudnoskiej.

domów z rodzinami do 300 głów; resztę stanowią lokatorowie i służba. Wszyscy niemal mieszkańcy by swój materialny podtrzymują pracą przemysłową. Dotychczas Nowa Praga w liczbie swych obywateli nie ma jeszcze ani emerytów, ani drobnych kapitalistów, dla których przecież, przy spodziewanym swym rozwoju, byłaby ona bardzo stosownym miejscem osiedlenia. Zamożniejsza ludność zamieszkuje przy ulicy Środkowej, przecinającej pięć innych. Na przecięciu ulicy Brudnoskiej, między ulicami Nową i Boczną, mieści się plac Nr 48 o trzech frontach, 12 tysięcy łokci kwadratowych powierzchni mający, ofiarowany przez pana Konopackiego na szpital, z warunkiem aaby budowa jego nie później

wój Pradze od drobnego rozcząstkowania dwa place po 16,000 łokci kwadratowych, każdy o dwóch frontach, na zakłady fabryczne, ze wszelkimi ułatwieniami dla nabywców. Projektowana przez inżyniera, p. Spornego, kanalizacja Nowej Pragi, zabezpieczy na przyszłość tej miejscowości najlepsze warunki sani-

PLAN POSIADŁOŚCI DZIEDZICZNEJ, ZWANÉJ KONOPACZYNA CZYLI NOWA PRAGA, w gubernii i powiecie warszawskim, w gminie Brudno położonej.



Dobry Starosta.

Podanie gminne pomorskie, opowiedziane przez R. Zm.

(Dokończenie).

Wzruszenie i radosna lepszej przyszłości otucha, nie dozwoliły naszemu majstrowi ani myśleć o spoczynku. Z lekkim sercem, lekkim krokiem wracał nazad do Torunia, gdzie też za parę tygodni stanął szczęśliwie. Czasowe swoje zniknięcie wytłumaczył jakimś zrezygnowanym pozorem, a spłaciwszy dłużni za resztę pieniędzy przynajawszy paru czeladzi, pilnie wziął się do roboty. Wyrobom jego, zalecającym się niezwykłą dokła-

dnością i smakiem, nie zbywało na odbycie, tak że po upływie niespełna półroka dziesięć sztuk złota, które mu starosta pożyczył, napowrót w całości znajdowały się w jego mieszkaniu, teraz już bez niebezpieczeństwa, ażeby z niego marnie ulotnić się miały.

Z dawniejszego zaślawiły, stał bo się teraz całkiem innym człowiekiem. Do piwnicy, gdzie niegdyś spędzał długie i wesołe godziny, nigdy odtąd nie zabłądziła jego noga. Kiedy pragnienie i potrzeba orzeźwienia się po pracy ciągnęły na szlankę piwka, zachodził do piwnic takich tylko, gdzie o grze i zgorzeniu nigdy ani mowy nie było, gdzie poważni majstrówie i kupcy spokojną i przywoitą zabawiali się rozmową. Częściej jednak niż w piwiarniach, spędzał teraz wieczory w domu to tego, to owego ze znajomych ożenionych majstrów, najczęściej zaś u jednego podżytego już dobrze złotnika, na rynku dom i warsztat mającego.

Zacny ten i powszechnie szanowany majster był Niemcem z rodu; ale że miał żonę Polkę, cała jego rodzina i on sam w domu polskim zwykli byli mówić językiem. Wbrew ówczesnemu rzemieślnikowi, a zwłaszcza niemieckim, zwyczajowi, stary złotnik nienawidził knajpy. Zato, gdy po zamknięciu warsztatu przeszedł się godzinę nad Wisłą, oddychając orzeźwiający jej powiewem, serdecznie się cieszył, gdy do mieszkania jego zaszedł ktoś ze znajomych, dzielić się z nim wieszczką i dzbanem wybornego z własnej piwnicy trunku. Rad więc był bardzo częstym odwiedzinom stolarza, którego trafne i bystre o rzeczach i ludziach sady wiele mu się podobały. Nawzajem nasz stolarz znajdował wielki pociąg w pełnych humoru rozmowach złotnika, który zwiędziwszy w życiu niemały kawał świata, miał zawsze coś nowego do opowiadania.

Więcej jednak podobno niż gawędy ojca, ciągnęła tam młodego stolarza obecność najstarszej córki złotnika, osiemnastoletniej, skromnej i urodziwej Joasi, która zastawiając wieszczkę, siadała obok matki, przysłuchując się rozmowom ojca i gości. Do rozmowy wtrącała się ona bardzo rzadko tylko jakimś krótkim i nieśmiałym słowem; tym częściej zato zwracała ukradkiem błękitne i pełne wymowy oczy na twarz urodziwego młodzieńca. A że i jego ciemne źrenice mimowoli zwracały się raz po raz w stronę gdzie siedziała Joasia, cztery te ócz spotykały się z sobą bardzo często i coraz to dłuższe, coraz wymowniejsze prowadziły z sobą rozmowy. I istotnie oboje młodzi, choć niewiele ze sobą wymienili słów głośnych, tak się z sobą doskonale oczną porozumieli rozmową, że kiedy raz nasz młody majster, wszedłszy do izby złotnika, znalazł w niej tylko samą Joasię, pięć minut czasu wystarczyło im, ażeby sobie wzajem zapewnić miłość i wierność na wieki.

Od tej chwili zakochany stolarz o tém tylko rozmyślał, jakby i kiedy oświadczyć się ojcowi Joasi. Wreszcie postanowił uczynić to w niedaleki już wieczór święto-jański, jako w wigilię imienin swojej ukochanej, a zarazem niezapomnianą rocznicę przeszłorocznego, tak szczęśliwego z duchem starosty spotkania. Kupiwszy więc od przechodniego gdańskiego kupca pyszny naszyjnik bursztynowy, a od jednego ze złotników śliczny pierścionek z turkusikami, sporządził na nie własną ręką niewielką szkatułeczkę, arcydzieło rzeźby i wykładania różnobarwnym drzewem i z tak przygotowanym podarkiem oczekiwał niecierpliwie pożądanego wieczoru, który ze szczęścia jego dopełni, nie wątpił na chwilę.

Oczekiwany dzień nadszedł nareszcie. Daleko jeszcze było do wieczora, kiedy nasz majster w świąteczne już przybrany szaty, chodził niecierpliwie od okna do okna swego mieszkania, przysłuchując się w regularnych odstępach bijącym zegarom, które ani na włos pospieszyć się w zwykłym swym biegu nie chciały. Nie mogąc nakoniec znaleźć sobie miejsca, wziął swą szkatułkę pod pachę i wyszedł nad Wisłę, aby doczekać się tam złotnika, oświadczyć się na przechadźce i załatwiwszy się z ojcem, pójść wraz z nim do córki.

Za miastem nad Wisłą znalazł pożądaną dla dumnań zakochanego samotność. W jednym tylko miejscu, na ocienionym drzewami i bujną trawą porośniętym placu, kilkanaście nianiek i mamek gwarno bawiło się z przyniesioną lub przywiezioną w ręcznych wózkach dziatwą. Trzy czy cztery z nich stało w żywej rozmowie, opierając się o poręcz nad stromym brzegiem Wisły. Majster nasz tylko co je minął, gdy przejmujący krzyk „Jezus! Maryja! dziećcie!“ do-

szedł jego ucha. Obejrawszy się, ujrzał przerażone kobiety i szerokie koło na wodzie, miejsce gdzie dziecię wpadło zaznaczające. Nie namyślając się ani chwili, nasz stolarz podniósł ręce nad głowę i rzucił się w rzekę. Kosztowna szkatułka wypadła z pod jego ramienia i potoczyła się z zabrzeża w wodę; nieczas było myśleć teraz o tej stracie. Jako prawdziwe nadwiślańskie dziecko, zanurzył się w rzekę i wnet potem ukazał się z dziećciem nad jej powierzchnią.

— Prędko! prędko do lekarza, zawołał wydo-stawszy się na brzeg i wyprzedzając piastunkę, pobiegł z uratowanym dziećciem ku miastu. Znajomy lekarz do którego zaszedł, obejrawszy dziećcie, zapewnił, że mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo, zostawiając je zatem staraniom doktora i drżąc jeszcze nianki, dzielny nasz stolarz pospieszył do domu, by z przemokłego przezuć się odzienia.

— Hm! pomruknął sobie, ujrzawszy się napowrót w swoich skromnych codziennych szatach, podczas gdy z pięknego niedzielnego stroju ściekały strugi mętniej wody — dzisiejsza przechadzka nad Wisłą drogą mnie kosztuje. Całe świąteczne ubranie wzięło lichy, a moje bursztyny z szkatułką płyną sobie Wisłą z kąd przyszły, do Gdańska. Teraz z nabyciem podarku dla Joasi trzeba czekać do jutra...

— Lecz zato, zawołał znowu radośnie, dokonałem dobrego uczynku, i to jeszcze w ten sam dzień, w którym roku zeszedł duch starosty czyni te tak gorące mi zalecał. Dzięki ci Boże! żeś mi tę nastroczył sposobność i szczęśliwie dał uratować tonące dziećciatko.

Odkładając wręczenie podarku Joasi na jutro, majster nasz nie myślał przecież wcale odkładać oświadczeń swoich. Zabrawszy się więc, zdążył napowrót nad Wisłę, gdzie właśnie też zastał samotnie przechadzającego się złotnika, i po wymienieniu zwykłych pozdrowień, nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy.

Ale jakże mocno i boleśnie się zdziwił, gdy złotnik, wysłuchawszy dość długiej i gorącej przemowy, zamiast, jak się spodziewał, odrazu i chętnie się zgodzić, począł zaambarasowany krząkać, kręcąc wasy i nie mogąc się widocznie zebrać tak łatwo na odpowiedź. Nareszcie przemógł się i biorąc za rękę stolarza, tak doń przemówił:

— Kochany mój majstrze! serdecznie wam dziękuję za te wszystkie dobre i życzliwe słowa, któreście o dziecku mojem, o mnie i o mojej rodzinie powiedzieli. Ale prosto i bez wykrętów, jak na poczciwego człowieka przystało, chociaż z największą przykrością, odpowiedzieć wam muszę, że na wasze żądanie zgodzić się nie mogę.

— Jako? zawołał niby z nieba spadły stolarz, odmawiacie mi więc ręki córki waszej? Ach! tegom się po was nigdy nie spodziewałem!... Powiedźcie, cóż przeciwko mnie macie?... Jeżeli moje dawniejsze...

— Ależ nie, nie o to tu chodzi — przerwał złotnik, przeciwko osobie waszej nietylko nic nie mam, ale przeciwnie nie znam nikogo, kogobym bardziej od was za zięcia sobie życzył. Z dawniejszych pustot grzechu wam nie robię; od roku zaś zmieniliście się tak gruntownie, jak mało kto zdoła w waszym wieku...

Ale wybaczone, że jako ojciec, na niepewne losy ukochanego dziećciatka oddać nie chcę. Wy, mój młody przyjacielu, jesteście prawdą mistrzem w waszym kunszcie, i wiem że byle Bóg wam dał zdrowie, żonę i rodzinę wyżywić zdołacie. Lecz nie macie żadnego zapasu, któryby was i waszych blizkich w złym razie od ostatniej nędzy obronił. Nie dopuść Boże, a niech-noby was choroba na pół roku - w łóżko rzuciła, co by się wtedy z całą waszą zamożnością stało?... Ja sam nie jestem tak bogaty, ażeby Joasi znaczny dać posag. Co się zarobi, to się rozejdzie; boć i żyje się po ludzku, i dzieci spora gromadka. Ot dom ten, com go jeszcze kupił zanim rodzina się zwiększyła, to i mój majątek cały. Pomyślcież sami, jak smutny losby czekał żonę waszą, gdybyście ją, co broń Boże, po kilku latach osierocili na świecie, z dwójgiem albo więcej dziećciatkiem, bez grosza i dachu nad głową? Nie, nie! mój kochany majstrze. Kto zechce wziąć córkę moją, nie potrzebuje być bogaczem, ale musi mieć coś więcej jak zdrowe dwie ręce, musi mieć przynajmniej domek własny, któryby w złym razie zapewniał przytułek i jaki taki kęs chleba.

Zmieszany stolarz odpięrał jak mógł rozumowania te wszystkie. Mówił o swojej młodości i zdrowiu, przy których o chorobie i śmierci ani myśleć się,

nie godzi; o zdaniu się na Opatrzność Boską; o możliwości przyjscia do majątku, i t. p. Ale złotnik tak stał uparcie przy swoim, że cała długa ich pogadanka wciąją w jednym obracała się kole, ani o włos nie posuwając naprzód sprawy nieszczerliwego zalotnika. Nakoniec, dla uspokojenia choć chwilowo rozdrażnionych uczuć młodzieńca, dał mu stary niby jakąś nadzieję, radząc ażeby czekał cierpliwie przez lat kilka, pracował i zbierał, a może mu się uda zebrać tyle, żeby do własnego domu mógł wprowadzić Joasię, której mu wtedy ojciec nie odmów. Ale ta daleka i wątpliwa nadzieja była zbyt słabą pociechą dla zawiedzionego tak niespodzianie w oczekiwaniach swych stolarza. Smutny i złamany na duchu, rozstał się z wracającym do domu złotnikiem. Długo potem jeszcze i aż w noc ciemną błądził samotny po ulicach miasta, a gdy powróciwszy nareszcie do siebie rzucił się na łożo, sen do dnia białego nie zmrzążył jego powieki.

Pierwszy dźwięk dzwonka na pobliskim katolickim kościele, przypomniał mu jednak włożony nań przez starostę obowiązek. Ubrawszy się z pośpiechem, podążył na mszę poranną, której pobożnie wysłuchawszy i po stokroć o pociechę w utrapieniu swém westchnawszy, rozdzielił następnie część pieniędzy między wyciągające rękę w kruchcie żebractwo, resztę zaś poniosł jako wsparcie pomiędzy biedne wdowy i rodziny, które już dawno sobie upatrzył.

Bieganie ze wsparciem po różnych uliczkach i zaułkach zajęło mu kilka godzin, tak iż dopiero około dziesiątej powrócił znużony do domu. Ale tutaj na progu warsztatu czekała go niespodzianka. W czasie jego niebytności jakiś dworzaczin bardzo się uprzyjemnie o niego dowiadywał, polecając aby za przybyciem niebawem u wojewody się stawił. Możny ten pan, przysłany przez króla z Warszawy dla załatwienia jakiejś ważnej sprawy, od paru już tygodni bawił w mieście; ale pocoby go wzywał? biedny stolarz napróżno zachodził w głowę. Nareszcie powiedział sobie, że idzie pewnie o jakąś robotę, i posiliwszy się spieszenie spożyłem śniadaniem, poszedł do mieszkania pożądanego pana.

Jakież było jego zadziwienie, gdy za ledwie opowiedziawszy się strzegącemu drzwi pańskich słudze, wnet przez niego do wojewody wprowadzonym został i gdy ten przemożny magnat z nadzwyczaj łaskawą powitał go twarzą. Przyczyna przecież tej zadziwiającej dobroci wnet mu się wiadomą stała. Uratowane wczoraj dziecko, było synem wojewody, jedynym jego późnego i krótkotrwałego małżeństwa owocem, jedynym wielkiego imienia i ogromnego majątku dziedzicem. Przejęty cały uczuciem odwróconego szczęśliwie nieszczęścia, wojewoda, pan przytęm ludzki i hojny, dowiedziawszy się od lekarza kto był syna jego zbawcą, wezwał go aby mu wyrazić swą wdzięczność, a nie ograniczając jej na samych słowach, dołączył do nich ciężką kieszę, którą nasz majster, pomimo usilnych i szczerých wymówek, w końcu przyjąć musiał. Upojony niespodzianym szczęściem, stolarz powrócił do siebie, a przeliczywszy zawartą w kiesie sumę, znalazł że w dwójnasób nieledwie wystarcza na zakupienie takiego jak dworek złotnika domu.

Tego samego dnia jeszcze Joasia, obok powinszowania imienin, przyjęła w obecności ojca piękny pierścien z rąk młodego majstra, a wieczorem liczne grono krewnych i przyjaciół złotnika obchodziło uroczyste córki jego zaręczyny. W kilka zaś tygodni potem młode małżeństwo zajęło obszerną kamienicę, niedawno przez stolarza nabytą.

Ale nie na tém powodzenia jego był koniec. Niektóre wyroby jego dostały się do Gdańska, gdzie ich wytworność i gruntowność tak się bogatym kupcom podobały, że stolarz nasz pełno ciągle miał zamówień. Posiadając po temu środki, rozwinął więc obszernie swoje pracownię, tak że nietylko zamówieniom zadość mógł czynić, ale i na handel gotowych sprzętów znaczną wygotować ilość. Bóg błogosławił mu widocznie. Sprzęty jego niezadługo szły jako pożądanym towar do różnych miast nadmorskich, do Królewca, Hamburga, Bremy i Bóg wie gdzie jeszcze. Po upływie lat dziesiątka był nietylko szczęśliwym mężem i ojcem, ale zarazem jednym z najbogatszych i najbardziej szanowanych obywateli miasta Torunia.

We dwadzieścia może lat od owej nocy, gdy biedny stolarz na kępie pod Seekaht spotkał się z duchem starosty, do tejże wsi zajechał powóz bogatego miesz-

DO UKOCHANÉJ.

Więrsz A. P., muzyka Emanuela Kani.

Andante.

1. Kie-dy du - masz w ci - chój do - bie A głos tę - skny w du - szy drga,
 2. Gdy znu - żo - ne cia - ło zdrzy - mnie, A sen u - rok pra - wdy ma,
 3. A gdy pierz - chnie ra - dość plo - cha, W smu - tku ci - cha spły - nie ła,

p *legatissimo*

Ktoś mnie wo - ła, mó - wisz so - bie, Kto? nie py - taj, bo to ja;
 Py - tasz: któż był du - szą przy mnie? Kto? nie py - taj, bo to ja;
 Ach! nie py - taj kto cię ko - cha, Bo to za - wsze, za - wsze ja;

Ach! nie py - taj, kto cię ko - cha, Kto? nie py - taj, bo to ja;
 Kto? nie py - taj, bo to ja;
 Bo to za - wsze, za - wsze ja;

dolce

kto cię ko - cha, Kto? nie py - taj, bo to
 Kto? nie py - taj, bo to
 Bo to za - wsze, za - wsze

pp

ja!
 ja!
 ja

p *ritard.* *molto*

I-ma et II-da III-a

a tempo *pp*

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

czanina toruńskiego, [który w drodze do Hamburga umyślnie tu zboczył.

Mieszkańcy wioski nie mogli pojąć powodu jego przybycia. Tém zaś bardziej się zdziwili, gdy kazawszy się przewieźć na kępe zamkową, upadł na nią na kolana, modląc się długo i gorąco. Wtedy to zapewne dowiedzieli się z ust jego, że szczęście całego życia zawdzięczał pomocy i radom starosty — i w ten sposób historia ta cała rozeszła się między ludzi.

Powiadają że od tego czasu nadziejni mieszkańcy, zawistni by znów ktoś obcy nie skorzystał z dobrodziejstw, z których oni sami korzystać nie mogą, ściągali w każdą noc święto-jańską wszystkie łódki z jeziora. Być może jednak iż to złośliwy wymysł. Tyle tylko pewna, że od czasu toruńskiego stolarza nie słyhać żeby ktoś więcej miał spotkanie ze starostą. Może który z czytelników naszych, jeśli go los o tej porze roku w powiat starogrodzki zawieje, zechce szczęścia poprobować. W każdym razie zapewnić go możemy, że jeśli nie spotka ducha starosty, spędzi noc bardzo uroczą, co przecież w tém nudném i prozaicznym życiu coś warto (*). R. Z.

(*) W przeszłym numerze, między stronką pierwszą a drugą, opuszczono co następuje:

Jednego razu w wieczór święto-jański zaszedł był do karczmy w Seekaht młody podróżny, który zrzuciwszy z pleców lekki bardzo tłumoczek, zasiadł sobie w kąciku za stołem, dla spóznia skromnej wicherzy. Podróżnym tym był majster stolarz z Torunia, Polak rodem, dobre w gruncie człowieczysko, ale cóż kiedy szalała i polskim obyczajem z dzisiaj na jutro żyjący. Dzięki swęj rzadkiej w rzemiośle zręczności, po odbytej wczesniej wędrowce, młodo bardzo został majstrem, i choć zaczął jak to mówią bez grosza, wkrótce nie zbywało mu i na



Z powrotem do domu.

Papa. Śliczny wieczór!.. Jak widno!..

Kawaler. Boże! jak mi to przypomina Wenecyę!..

Panna. Ach! to pan był w Wenecyi?

Kawaler. To jest... być sam nie byłem, ale... dużo o niej słyzałem.

robocie i na dostatnim zarobku. Na nieszczęście w jednej piwnicy znalazło się smaczne piwko, i tak wesołe towarzystwo, że zarobek z wydatkiem ani razu zgodzić się nie chciały. Młody nasz majster nie martwił się tém wcale, i przekonany że co pożyczycy, to z łatwością odrobi, pożyczycy pełnemi rękoma na lewo i na prawo, z kąd tylko pożyczycy można było. Ile w ten sposób był dłużny, dowiedział się wtenczas dopiero, gdy nikt mu już pożyczycy nie chciał. Równocześnie dowiedział się także, iż gospodarzowi domu w którym miał pracownię zaległ czynsz za wiele miesięcy i że ten go w domu swym mieścić nie chce.

jest kapitał, za pomocą którego ułatwioném i umożliwioném jest dorabianie się. Bez tego zostaną nawzawsze biédakami, zawistnymi od całego świata i od wszelkich chimer jego. Praca i oszczędność, choć znaczą wiele, ale nie znaczą wszystkiego. Praca dozwala nam oszczędzać, ale oszczędności czeladnika są i mogą być tylko tak mało znaczącymi, iż za ledwie po latach kilkunastu pracy do jakiegoś kapitaliku przyjść może. Weźmy to pod rachunek.

Dajmy na to że uczeń na czeladnika wyzwolonym został, mając skończonych lat 20. Czeladnik ten po-

(Ob. dodatek).

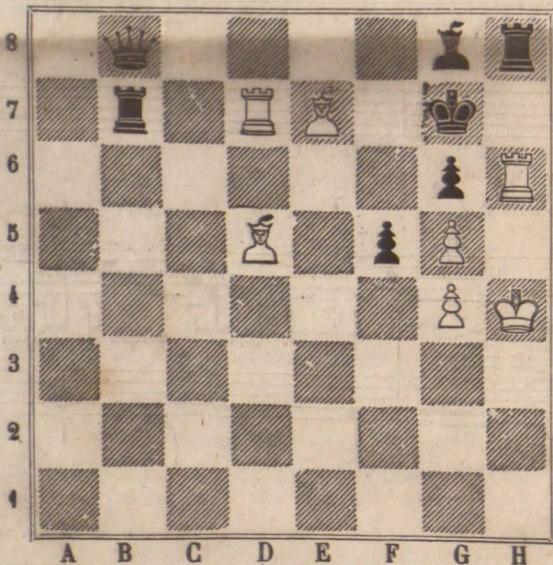
S z a c h y.

ZADANIE CCCXXXIX.

(B. A. Winawer w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 338.

Białe.

Czarne.

- 1) E2—E7 biorą† 1) D7—E7 biorą.
- 2) C3—D5† . . . 2) E7—D7.
- 3) F2—G3 . . . 3) C7—C6.
- 4) A8—D8 † i mat.

Banki zaliczkowe dla rzemieślników.

Powszechnie narzekają u nas na brak kredytu i kapitału. Dlaczego tak jest, nie pora tutaj o tém mówić; dość że brak czuć się daje i każdy radby go usunąć. Szczególniej na tym niedostatku cierpią rzemieślnicy drobni i ci wszyscy z czeladzi, którzy choć mają świadomość swego rzemiosła i do pracy są chętni, jednakże na założenie warsztatu nie posiadają swego grosza, obcy zaś kredytować im nie chcą, a jeśli jaki taki znajdzie kogoś, który mu pewną sumkę wypożyczy, to z pewnością na tak wysoki procent, iż prędzej straci na tej pomocy, niżeli zyszcze. Toż samo spotyka i majstrów, niemogących na każdą chwilę znaleźć dostatecznej ilości pieniędzy i zmuszonych na wysoki procent pożyczycy, bądź dla kupna surowych materiałów, bądź na opłacenie nieprzewidzianych wydatków, bądź dla zadość uczynienia wielu potrzebom, od których zgodnego i rychłego załatwienia zawisa bardzo często cała przyszła pomyślność majstra i jego rodziny, cała świetność i rozwój jego pracowni i działalności.

Sam znałem kilku takich rzemieślników, którzy nie mogąc na terminie i dogodnie dostać kilkuset złotych, wpadali w ręce niegodziwych spekulantów i tak przez nich pomaleńku zostali omotani, że procentami i zastawami doszli do zupełnej niemal ruiny. Kilku z nich poszło pracować jako czeladnicy, a inni, mniej mężnego charakteru, z rozpaczcy rozpiłi się i poginęli marnie. A wszystkiemu temu właśnie winien był

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 382.

Dawniej ludzie grzyby pożywali, teraz je noszą na głowach.

(Dodatek).

bięra dziennie średnio po kop. 75; a że dni roboczych w roku jest najwyżej 290 (przypuszczamy że na ciągłe robotę), zarabia przeto w ciągu roku rs. 217 k. 50.

Z tego odchodzi rocznie:

a, na życie, licząc dziennie po kop. 35,	rs. 127 kop. 75
b, na mieszkanie	„ 36
c, na ubranie i pranie	„ 26
d, na opłaty cechowe	„ 4 kop. 50
e, na inne nieprzewidziane wydatki	„ 5 „ 50

Razem wydaje rs. 199 kop. 70

Zaoszczędzić zatem w ogóle może rocznie rs. 18 i to zaoszczędzić wtedy tylko, jeżeli wyrzeczy się pić bawara i palić papierosy, co u nas jest nadzwyczaj trudnym.

Przytak drobnych oszczędnościach, jakżeż to długo czekać trzeba, ażeby złożyć tyle ile potrzeba na założenie własnego warsztatu!

Jednoroczna oszczędność zaledwie wystarcza na pokrycie prawnych kosztów wypisania na majstra i wykupna konsensu; drugoroczna dopiero pokrywa kosztą zwyczajowe wypisania się na majstra; a po latach 10ciu lub więcej z trudnością uciuć można z jaki tysiączek, który ledwie na połowę kosztów założenia warsztatu wystarczy, od większej zaś połowy trzeba płacić duże procenta.

Jednakże i ta nasza pociecha z oszczędności powolnej zniknie, skoro zwrócimy uwagę, że wyżej liczoną oszczędność stanie się tylko udziałem czeladnika kawalera, a czeladnik żonaty ledwie o niej tylko marzyć może. Że zaś prawie każdy, ledwo wyzwolony na czeladnika, żeni się, przeto pokaże się w rezultacie, że oszczędzających między czeladzią jest bardzo mało, a jeżeli mogą oszczędzać, to chyba po kilka złotych miesięcznie, co ledwie po latach 20 lub 30 obiecuje im z jakie tysiąc złotych.

Kiedy więc sama praca i oszczędność nie wystarczają na zebranie kapitału, a bez tego kapitału, bez tego majątku ruchomego, trudno znowu zyskać rzemieślnikowi kredyt, — zdawałoby się zatem, że z tego zamkniętego koła nieszczęść niema już chyba wyjścia i że trzeba wszystko jedynie zostawić Opatrzności, która pamiętając o liliach polnych i o śpiewakach leśnych, nie zapomni także i o człowieku. I w istocie Opatrzność o nas nie zapomniała, bo dała nam rozum, to jest możność wynajdywania środków zaradczych i uzdolniła nas do zastosowywania owych środków.

U narodu nam sąsiedniego, gdy nęcza trapić lud roboczy zaczęła, rozum wynalazł środek zaradczy, który od lat kilkunastu zastosowany, coraz większym cieszy się powodzeniem, coraz to liczniejsze zléwa dobrodziejstwa na pracowite rzesze, coraz bardziej i gruntowniej przekonujące się, że wzajemna pomoc odpędza nęczę i staje się zarodem dobrobytu tak pojedynczych osób, jak i całej społeczności. Tym to środkiem zaradczyim stały się *Kassy ludowe zaliczek*, założone w Niemczech przez Schultzego z Delitz.

Możnaby tu niemało wypisać słów ironicznych o tej właściwości wzroku naszego, że umie dojrzeć i nasładować wiele zagranicznych blahostek i przywar, a tego co jest istotnie dobrém i użytecznym, dopatrzeć jakoś nie może. Ale usuńmy sarkazm i powiédzmy wprost, iż dziwić się należy że o bankach zaliczkowych niemieckich zaledwie mniej niż senne mamy wiadomości. Oprócz kilku wzmianek po dziennikach mało czego uczących, tylko dwie ważniejsze w tym przedmiocie spotkaliśmy prace, dwa wybitniejsze artykuły: jeden w skręślonych z werwą *Studiach ekonomicznych* p. Trepki, a drugi, mniej entuzjastyczny i porywający, ale gruntowniejszy, napisany przez p. Kirszrota w *Ekonomiście* za miesiąc grudzień z r. 1865 p. n. *O stowarzyszeniach zaliczkowych w Niemczech*. Dwa te atoli pisma, mało rozpowszechnione między ogółem publiczności, nie wywarły żadnego wpływu na masę rzemieślników polskich; sądzą więc iż do brze zrobię, zaznajamiając czytelników Tygodnika z głównymi zasadami banków zaliczkowych.

Zadaniem banków zaliczkowych, jak to sama ich nazwa wskazuje, jest dawanie zaliczek, ale nie wszystkim w ogóle, tylko stowarzyszonem, czyli członkom banków.

Zakładanie banków taką idzie drogą. Skoro pewne miasto, miasteczko lub jakie zgromadzenie kupieckie czy rzemieślnicze uzna potrzebę kredytu, postanawia założyć bank zaliczkowy. Do takiego banku należy każdy, kto prowadzi się uczciwie i kto

złoży sumę, dajmy na to złp. 300. Summa ta składa się dwojakim sposobem: albo od razu cała, albo też co tydzień lub co miesiąc pewnymi ratami, aż do zebrania się całkowitej oznaczonej kwoty złp. 300, która to kwota zowie się *udziałem* członka, albo *conto* członka. W Niemczech płaci się miesięcznie najmniej od 2 do 5 złp.; można płacić i więcej, lecz tylko do uzupełnienia udziału, wyżej ani grosza, a to dlatego, aby wszyscy członkowie banku byli zupełnie równi między sobą, aby nikt nie rościł sobie prawa do jakiegoś patronatu nad innymi, z zasady że więcej od nich włożył, i aby tym sposobem uniknąć bankructwa. Gdyby bowiem w banku się znajdowali członkowie mający wielkie udziały i ci bądź przez niechęć, bądź z interesu zażądali od razu zwrotu (co jest dozwolonem, jak zobaczymy niżej), w takim razie bank, mając porozpraszane drobne sumki, nie mógłby ich dość szybko zebrać i musiałby zawiesić swe wypłaty, czyli zbankrutować. Nadto na oznaczenie aby każdy członek miał jednakowy udział w banku wpływa i ta uwaga, aby członkowie mający duże wkłady, nie brali też i dużych pożyczek, a tym sposobem aby fundusze przeznaczone na pomoc dorabiającym się, nie przechodziły w ręce kapitalistów, którzy i tak gniotą pracę.

Ze składek zatem członków banku, powstaje kapitał do wypożyczania. Pożyczać mogą jedynie członkowie banku. Każdy z nich bez poręczenia dostaje pożyczkę w wysokości swego udziału, to jest że jeżeli złożył dajmy na to 300 złp., bank pożyczka mu te 300 złp. bez żadnych poręczeń. Skoro atoli chce pożyczyc więcej jak 300 złp., to na przewyżkę musi dać poręczycieli, najmniej dwóch, i to koniecznie członków banku. Bank tym sposobem chroni się od straty, bo pieniądze wypożyczonych poszukiwać ma prawo na całym majątku poręczycieli, a prócz tego posiada jeszcze ich udziały w swój kassie. Pożyczki mogą przenosić dwa, trzy i więcej razy to, co członek biorący zaliczkę ma w banku. Złożył np. 300 złp., a ma prawo pożyczyc i 1200, jeżeli poręczą za nim i jeżeli bank uzna tych poręczycieli za dających rękojmię. Tu to się właśnie wykazuje cała ważność banków zaliczeń, tu jest ten kredyt upragniony, dla naszego rzemieślnika dotąd niedostępny. Trzysta złotych zaoszczędzić daleko łatwiej, aniżeli 1200; daleko prędzej złoży tę sumę czeladnik, skoro ma pewność, że za lat kilka bank mu więcej wypożyczy i że będzie się mógł dorobić. Dawniej na zaoszczędzenie sobie 1200 złp. musiał on czekać lat 12; dziś w lat trzy tę sumę pożyczka mu na procent zupełnie umiarkowany. Dawniej przez lat dwanaście setki potrzeb, coraz liczniejszych z wiekiem późniejszym, wyrwały mu zaoszczędzony grosz z kuferka; dziś przez trzy lata młodszego wieku i mniejszych potrzeb, trzysta złotych śpiewająco uciuć. Dawniej, potrzebując zbierać przez lat dwanaście sumkę pozwalającą na otworzenie warsztatu, doczekać się jej nie mógł, rzucił stan kawalerski i żenił się, zazwyczaj z jaką starszą od siebie służącą, lub z kobietą, która niekoniecznie uczciwie zebrała kilkaset złotych, otwierających dla niego bramy majstrowskiego raju; dziś, mając pewność otrzymania po trzech latach zaliczki, prędzej obejdzie się bez żony, prędzej, nie mając żony, zdoła złożyć owe 300 złotych, i prędzej doszedłszy do lat i grosza, ożeni się z jaką młodą i uczciwą panią, choćby córką majstrowską. Dawniej po latach kilkunastu zaledwie mogąc się czegoś spodziewać, zrażał się, zniechęcał i zamiast oszczędzać, lgnął do hulanki i knajp rozlicznych; dziś, party nadzieją niedalekiej, lepszéj przyszłości, pracować będzie ochoczo, uciekać od knajp i tym sposobem z młodych lat odstrychnie się od nieporządnego życia, zostanie majstrem dobrym i pracowitym, uczciwym człowiekiem i zacnym obywatelem kraju. Takie same korzyści osiągnie i majster niezamożny, a potrzebujący rychłego kredytu, dogodnej zaliczki.

Zaliczki dawane bywają na trzy miesiące, lecz i na drugie jeszcze trzy prolongowane być mogą, za zezwoleniem atoli poręczycieli.

Od otrzymanej zaliczki opłaca się procent. Procent ten nie jest stały, bo zależy od tego, jak stoi pieniądz w kraju, czyli jaki w kraju procent płacą za wypożyczanie. Procent ten atoli zawsze o wiele jest mniejszy od tego, jakiby członkowie banku płacić musieli, gdyby pożyczali od kapitalistów. W Niemczech obecnie procent ten wynosi rocznie 8% a i u-

nas nie byłby zapewne wyższy. Jest to i tak ogromne dobrodziejstwo. Rzemieślnik niezamożny albo wcale nie dostanie pożyczki, albo też płacić musi po 3% na miesiąc, czyli po 36% na rok, czasem nawet po 6 groszy od rubla na tydzień, czyli po 156% na rok. Z banku zaś zaliczkowego dostaje zawsze pożyczkę średnio po 8 lub 9%.

Procent sześć groszy od rubla praktykuje się zwykle wtedy, gdy kto pożyczka drobne sumki, np. 4 lub 5 rubli; przy istnieniu zaś banku zaliczkowego, każdy z członków może pożyczyc nawet drobne summy, jak n. p. 5 rubli, i zapłaci od nich na kwartał procentu gr. 20, licząc po 8% rocznie, gdy tymczasem pożyczający dziś prywatnie, płacą samego procentu kwartalnie złp. 13. Jakaż różnica!

Z procentu pobieranego od zaliczek, bank opędza kosztą administracji, dywidendy członkom, powiększa fundusz rezerwy i płaci procenta za wypożyczone od obcych kapitały.

Bankiem zawiadują sami jego członkowie; że zaś wszyscy rządzić nie mogą, bo byłby z tego właśnie bezład, przeto zarząd rozdziela się na trzy kategorie: Zarząd właściwy, Rada nadzorcza i Ogólne zebranie wszystkich członków.

(Dokończenie nastąpi).

PIÉRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

A d a ś.

V.

Gdyby nasz bohater wiedział co to są małe miasteczka, albo gdyby z nauczki jaką mu dano przy wyjściu z kościoła skorzystał, byłby zapewne, mimo wszelkich nalegań niedoświadczonego studenta Ludwika, odłożył swą pierwszą wizytę na pocztalteryi do wtorku, a może do środy, i starałby się wprzód wywiązać z powinności złożenia przedewszystkiem swego uszanowania osobom wyżej w hierarchii urzędniczej od pana Dzicza położonym.

Anormalne jego postępowanie nie mogło niewywołać surowej krytyki każdego jego kroku, z czego naturalnie wywiązały się komentarze.

Już w niedzielę wieczorem cała Pilica trzęsła się wiadomością, że wczoraj przybyły doktor, zakochał się w pocztalteryównie; nazajutrz rozpowiadano w Wolbromiu, że się z nią żeni, a we wtorek najuroczyściej zapewniano w Olkuszu, że ślub będzie w karnawale.

Wizyta, o której całe miasto wiedziało, (małe bowiem miasteczka są prawdziwymi filozofami, jeśli to prawda, że *nosce te ipsum* całą podstawę i treść filozofii stanowi), — otóż ta wizyta mogła tylko powiększyć i rozjątrzyć prześladowania, jakimi młodzież pilicka naszego bohatera już na wychodnym z kościoła przyjęła.

Ludwik spostrzegł się wkrótce, jak okropny kryminał przeciwko parafialnej etykietce popełnił, wszystkie te bowiem komentarze robiły się tak głośno, że nie mógł ich niesłyszec, spostrzegł się, i — wpadając w błąd jeszcze większy, — postanowił naprawić zlé.

Było to wręcz przeciwne najelementarniejszym zasadom małomiasteczkowej strategii.

Czytelniku! jeżeli kiedy trafi ci się nieszczęście, iż staniesz się przedmiotem pogadanek i plotek małego miasteczka, udaj że ich nie słyszysz albo nie rozumiesz, nie zmieniaj w niczym swojego postępowania, bądź zatwardziały w grzechu, za który cię opinia parafialna wielojęzyczną różgą chłostać rozpoczęła, uzbroj się w cierpliwość jak w pancerz i przeciw wszelkim powiatowej wymowy pociskom tarczą obojętności zasłaniaj. W takim razie plotka się znuży, powód jaki dałeś obgada, mydlana bańka wrzawy, doszedłszy kolosalnej objętości, pęknie i małą kroplę wody zostawi po sobie. Ale niech cię Bóg broni chcieć złemu zapobiedz. Cokolwiekbyś uczynił, stanie się tylko podniecającym materiałem dla chłonnego wszystko żywiołu bजारstwa. Ty zamkniesz jedne usta, a sto-

języków innych zaraz się w ruch wprawi, i głosić będą rozlicznymi tony nieodśpiewaną wrotkę tamtych, przetranszowaną, urozmaiconą na tysiące sposobów. Wszystko co zrobisz, będzie tylko oliwą dolaną do ognia, aż się zmęczysz nareszcie i sił wyczerpanie zmusi cię do tej obojętności biernej, która jest jedynie skuteczną i od której zacząć należało.

Biędny doktor nie znał tego najprostszego sposobu leczenia chronicznej choroby miasteczka, i z dęszcu dostał się pod rynnę.

W poniedziałek i wtorek składał wizyty małomiejskiej arystokracji, pilnując się najściślej hierarchicznej kolei.

Nic to jednakże nie pomogło.

Pani podsejdkowa kazała go przeprosić, bo ją głowa boli. Pani burmistrzowa przyjęła, ale bardzo kwaśno. Pani pisarzowa sądu, niemająca córek na wydaniu, nie była wprawdzie tak nielitościwą i nie wymówiła się od przyjęcia, ani nie robiła grymasów widocznych podczas wizyty, była to bowiem krakowianka rodem i obyczajów miast większych świadoma osoba; ale dała także do zrozumienia, że ma urazę, wtrącając do rozmowy jedno z tych wyrażen, które na partykularzu przyjęte są za niewinne docinki, a w wykwintnym salonie za impertynencye uchodziłyby mogły.

Regent okręgowy był wdowcem, a miał trzy hoże córki, w pełni lat i wdzięków. Jadzia, Władzia i Idzia prześcigały się wzajem w prześladowaniu doktora.

Oto małeńkie próbki ich powiatowego dowcipu.

— Czy wie pan konsyliarz, mówiła Jadzia, za kogo pana tutaj wzięto po przyjeździe?

— O ilem się mógł przekonać, odrzekł Ludwik, wszyscy zgadywali odrazu kto jestem.

— Były jednak osoby co sądziły, że pan jesteś urzędnikiem wysłanym na rewizyę koni pocztowych, twierdziła Jadzia.

— I to nawet poważne osoby, dodała Władzia. Tak to ludzie zawsze sądzą z pozoru! Pan jesteś tylko amatorem koni, tak jak syn dziedzica z Krudowa, co do każdej stajni zagłada i ciągle tylko gada o bułanych albo skarogniadych. Nieprawda panie? I z tak niewinnej rzeczy robić zaraz plotkę!

W taki sposób, na przemiany, pastwiły się dwie starsze regentówny nad swą ofiarą.

Najmłodsza, Idzia, nadobne dziecię, dwudziestą piątą dopiero rozpoczynające wiosnę, czuła się uprawnioną do jednej z tych psot, jakie w jej wieku figlarnym dziewczętkom tyle nieklamane uroku dodają, i wybiegłszy do przedpokoj, gdzie doktor swe palto zostawił, wyszyła mu na lewej piersi grubą białą bawełną serce strzałą przesyte, a nad niem trąbkę pocztową.

Gdziekolwiek stąpił Ludwik, wszędzie go spotykało podobne przyjęcie.

Wrócił z tego obchodu znużony i wyczerpany, nie bowiem więcej zmęczyć, znużyć, skwaśnić nie potrafi, nad tego rodzaju szpilkową wojnę, jaką plotkarki i plotkarze małomiejscy z wytrwałością i natręctwem niespokojnych owadów prowadzą,

— A tom sobie piwa nawarzył, mówił do siebie; stałem się solą w oku wszystkiemu co w Pilicy krynolinę nosi, albo krynolinie ulega, czyli jednym słowem całej Pilicy z przyległościami i przynależnościami, bez najmniejszego wyjątku... Będzie mi tu dopiero!... Ha! cóż robić?... do śmierci uczymy się rozum! Oswoic się z tem trzeba... Cierpliwości, a jakoś ta burza przeminie.

Było to postanowienie najrozsądniejsze, i gdyby nasz bohater zdecydował się na nie parę dni wcześniej, byłby sobie oszczędził wyjścia na rynek pilicki z konceptem panny Idy, wyszytym na piersiach.

Powodem który najwięcej przyczynił się do tej decyzji doktora, lekceważącej wypowiedzianą mu wojnę, było naturalnie uznanie, że drobne osobiste przykrości poświęcić powinien głównej i naglącej sprawie, i wszystkie plotki i docinki pilickie uważać za niebyłe przynajmniej dopóty, dopóki Maryni stanowczo od grożącego jej niebezpieczeństwa nie zabezpieczy.

W tej mierze doktor widział z boleścią że nie postępował wcale.

W kilka dni po pierwszej wizycie, rzucając śmiało rękawicę zbiorowej elokwencji pilickiej, doktor był powtórnie na poczęcie i powtórnie się przekonał, że pan Dzicz, pod względem medycyny, jest niezdołaną warownią, i że choć córka wszystko wymódcz na nim mogła, przecież bezpośrednio na nią wpływać w tej mierze było niepodobniństwem; w jakiegokolwiek bo-

wiem obłonki troskliwość medyka obwinęłaby swe rady, piękna pacjentka musiałaby albo odgadnąć ich powód rzeczywisty, albo je przypisać jakiej bardzo blahłej przyczynie i skutkiem tego nie obserwować ich zupełnie.

Opuściwszy poczhalteryę, doktor wyszedł nieco za miasto, aby podumać swobodnie, i załamywał ręce, drżąc z obawy o tego anioła, którego widokiem i głosem rozkoszował się przed chwilą.

W umyśle jego, jak zwykle w razach gwałtownej wewnętrznej walki gorącej woli z nieprzewyciężonym niepodobniństwem, tłoczyły się myśli rozliczne, niezbyt wyraźnie odgradzające się jedna od drugiej, a ponad cały ten zamęt zdawała się wypływać i wybijać jedna mgława i niewyraźna wątpliwość, do której rozum doktora uśmiechał się uszczęśliwiony.

— A może ja się pomyliłem?

Coraz bliżej zastanawiając się nad tą wątpliwością, młody medyk uznał ją za tak uzasadnioną, za tak prawdopodobną, że się jej chwycił jak kotwicy ocalenia i za pewnik ją prawie przyjmował.

W istocie, mówił do siebie, znak który widziałem, mógł być przypadkowym tylko, témbardziej, że od niedzieli nie spostrzegłem go powtórnie, lecz przeciwnie widziałem twarz jej cudną obleczoną żywym i równo rozlanym rumieńcem. Zresztą konstytucya, choć wątła, zdaje się zdrowa, oddech łatwy, głos czysty, wzrok łagodny, a stary Dzicz zapewnia, że nie chorowała nigdy i żadnych lekarstw nie zna. Wszystko to mówi przeciw moim przewidzeniom i przypuszczeniom. Tak, doprawdy, omyliłem się.

W tej chwili jeden z uliczników pilickich pokazał się niewiedzieć z kąd w bliskości i pobiegł za Ludwikiem, śpiwając jakiegoś osobliwego krakowiaka, na którego wyrazy nasz bohater nie zwrócił jednakże uwagi.

Odśpiewawszy swą wrotkę, odrapany chłopak zbliżył się do Ludwika z czapką w ręku, prosząc:

— Grosik, paneczku!

Ludwik rzucił mu dziesiątkę.

— A może jeszcze raz zaśpiewać tego samego? zapytał chłopak.

— Ruszaj precz!

Młody medyk szedł dalej i dumał.

Tak łatwo wierzymy temu, co pragniemy żeby się stało! Wszystkie rozumowania doktora skupiały się teraz w jednym ognisku. Przypuszczenie że się omylił, zamieniło się w pewność, i zdrowie którego życzył Maryni, zdawało mu się zabezpieczonym na długie lata.

Zaledwie uszedł jakie sto kroków, szczęśliwy już swą wątpliwością, którą za pewnik niezbitą z całą wiarą brać zaczynał, — inny, o głowę wyższy od pierwszego chłopiec, znów zaczął się kręcić przy nim i śpiewać też samą piosenkę.

Ludwik, zajęty myślami, nie zważał wcale na wyrazy, nuta tylko taż sama uderzyła jego ucho.

Nowy trubadur, podobnie jak poprzedni, odśpiewawszy parę razy swą wrotkę, przystąpił do Ludwika prosząc:

— Grosik paneczku!

— Szczególny zwyczaj miejscowy! pomyślał doktor, rzucając mu także dziesiątkę.

— A może jeszcze raz tego samego? zapytał chłopak.

Tożsamość pytania zastanowiła nieco Ludwika.

— No śpiewaj, rzekł.

— A da paneczek jeszcze czeskiego, (sześć groszy)?

— Dam.

Tu chłopak odchrząknął, czapkę na bok nasunął, ujął się pod boki i przeraźliwym daleko niż poprzednio głosem, przy akompaniamencie kilku porządnych fałszów, zaśpiewał:

„Warszawiacy do kochania najpierwi, najpierwi,
Noszą serca bawelniane na piersi na piersi!”

I drapnął co mu nóg starczyło, nie czekając na obiecanego czeskiego.

— Koncept Adasia! roześmiał się Ludwik. Jestem tedy w Pilicy, jak Horacyusz w Rzymie, wytykany palcami przez uliczników!... O sławo! o rozgłosie!... jakżeście łatwe do zdobycia... na parafii!

W istocie, była to psota wyrządzona doktorowi przez kuzynka Maryni. Widząc przez okno, że nasz bohater idzie na poczhalteryę, poeta powiatowy postanowił go ukarać. Odszukawszy kilkoro zamorusanych dzieciaków, wyuczył je jak mają postępować,

a gdy doktor wychodząc skierował się za miasto, posłał je za nim z dokładną instrukcją, postępując sam za nimi o paręset kroków, ażeby być świadkiem swojej zemsty. Wiedząc że w taki sposób spotkać się musi koniecznie z Ludwikiem, ostrzył przez drogę swój język, musztrował dowcip, słowem przygotowywał się jak umiał do językowej walki z Warszawiankiem, tak był mocno przekonany, że ona tego dnia koniecznie nastąpić będzie musiała.

Ludwik wkrótce zawrócił ku domowi, i zajęty głównie zajmującą go myślą, bardzo prędko o krakowiaku zapomniał, obliczając nanowo z głęboką rozważą prawdopodobniństwo omyłki której tak gorąco pragnął.

— Wszystko się zgadza! wykrzykiwał w duchu; złapałem się jak student na pierwszym lepszym przypadkowym objawie. Marny ze mnie patolog, chociaż mam pretensyi tyle. Wszystko się zgadza, i jeżeli tylko, jak się spodziewać należy, niema powodu bać się tego, co byłoby najstraszniejsze, to jest...

W tej chwili Adaś z ironicznym uśmiechem złożył swój ukłon Ludwikowi.

— Moje uszanowanie panu konsyliarzowi! Zkądże to?

Nasz bohater spojrział na Adasia, nie przerywając swoich myśli.

— Ten wie o wszystkim, pomyślał, to Bóg mi go przysłał, ażeby mój niepokój do reszty rozproszyć.

I nie odpowiadając na zapytanie, z widocznym zajęciem zapytał:

— Panie Adamie, chcieliby mi proszę powiedzieć, na jaką chorobę umarła żona pana Dżicza?

— Na suchoty, odrzekł Adaś.

— Ah! wykrzyknął boleśnie doktor i konwulsyjnie załamał ręce.

Cały tak piękny gmach marzenia runął odrazu, wszystkie wątpliwości nagromadzone tak kunsztownie rozsypały się i zniknęły, pozostała straszna, okropna pewność.

Uspობienie dziedziczne istniało, znak był niemylny.

Adaś przez chwilę patrzył zdumiony na doktora, i przez tę chwilę, jak z myśli Ludwika ulatywały różane marzenia, tak z głowy młodego wiészoklety zamiary z jakimi przyszedł ustępowały bez śladu.

Ledwie chwila ubiegła, już Adaś spostrzegł jak straszna tajemnica mogła leżać w tém pytaniu; lecz nie chcąc wierzyć okropnemu domysłowi, chwycił za rękę doktora i zawołał:

— O ja nieszczęśliwy!... Doktorze! powiedz mi dlaczego pytales?...

Ludwik zrazu załował że się zdradził i chciał przybraniem miny obojętnej i jakimkolwiek pretekstem zbyć młodego poetę; ale zrozumiał w jednej chwili, że to się już na nie przydać nie mogło.

— Stało się! myślał, tać przed nim niepodobna!... A może zresztą... co za myśl szczęśliwa!... to czego z ojcem i córką wprost zrobić nie można, da się zrobić przez kuzynka, mającego wstęp bezustanny i zakochanego jak się zdaje.

Uchwycił się tej myśli, jak tonący brzytwy.

— Panie Adamie, rzekł, wróćmy się trochę i porozmawiajmy poważnie.

— A! doktorze, nieublagany chirurgu! wołał przerażony Adaś, bierzesz mnie na tortury; operacya trwa zadługo, powiedz przedź!

— Powiem, odpowiedział Ludwik, i jestem pewny, że z tego co się dowiesz zechcesz panie Adamie z mezką dojrzałością skorzystać.

— Z dojrzałością starca bez zębów, jeśli pan chcesz, lecz mów nareszcie, niecierpliwił i dąsał się Adaś.

— Trzeba działać rozsądnie i z rozważą, żeby ustrzedz córkę od losu matki...

— A! wykrzyknął z kolei Adaś, i słów mu na odpowiedź zabrakło.

Dwie młode, gorące łzy spłynęły po przywykłej do śmiechu i pustoty młodzieńczej twarzy pilickiego wieszca, i w jednej chwili zakochany dzieciak spowaźniał i zmęzłniał, jak gdyby młody doktor kilku swemi wyrazy zreformował kalendarz na system dziesiątny.

— Doktorze, zawołał, niebezpieczeństwo musi być blizkie i ogromne, kiedy je pan spostrzegłeś, nie wiedząc zupełnie o chorobie co wywołała śmierć matki Maryni. Nie trzeba tracić chwili!... Czy jest jeszcze czas?

— Jest.

— A więc mów jak trzeba działać; ja biegnę i powiem wujowi.

— Niepodobna, odrzekł poważnie doktor, jeden krok nieroztropny może zgubić wszystko. Musisz panie Adamie uzbroić się w zimną krew, w całą rozwagę, gdyż inaczej nigdy nie wybaczył, że powierzył twym ręką bezpieczeństwo i życie może twojej kuzynki.

— Cóż więc począć? doktorze, pytał przelekły Adaś, co robić? Będę cię słuchał jak wyroczni, święty człowieku, tylko mów!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYFLISU POD ARARAT.

Przez

Kazmirza Łepezyńskiego.

(Dalszy ciąg. *)

Nazajutrz słońce jeszcze nie weszło, kiedy już się wybrałem w dalszą podróż. Jechałem, nawskróś porannym chłodem przejeżdżając. Droga szła po zachodnim, skalistym brzegu jeziora, czepiając się pochyłości góry i nieraz wysoko nad spokojne zwierciadło wód się wynosząc. Wtedy jezioro w całym szmaragdowym przepychu rozkładało się przedemną i oczu nie mogłem nasycić, patrząc na jego tafle bez skazy, na jego wspaniałą ramę, rzeźbioną z zieleni i ze skał. Milę ujechałem: ani jednego domu, ani jednego człowieka. Wspaniała cisza pustyni, nawet przelotem ptaka, ani brzękiem owadu nie zmacona! Kiedyś sewanśkie brzegi były silnie zaludnione, bogate miasta i osady otaczały jezioro dokoła, niejeden handlowy żagiel białł się na jego wodach, nabrzeża roily się narodem. Ale godzina przeznaczenia dla Azji wybiła: osty zarosły kwitnące brzegi Eufratu, Tygru i Jordanu; Niniwy, Babilony i Balbeki rozsypany się w żuliska. Armenia doznała jednego losu z całym Wschodem. Wzdłuż i w poprzek przejechały ją pogańskie dzicze i mahometańskie hordy. Barbarzyńcy pogospodarowali po swojemu i długa praca wieków rozsypała się w popioły. Cisza przedhistoryczna wróciła na brzegi sewanśkie. Duch Boży, jak w pierwszych chwilach po stworzeniu, przechadza się po zielonych kobiercach i dziwnym trafem ze wszystkich dzieł człowieka nic nie pozostało, tylko jeden samotny klasztor, zbudowany na obszernej skale, co się z toni jeziora wydzwignęła ku górze. Wymijamy ją właśnie. Klasztor napół rozwalony, jest niesłychanie starożytny; w III wieku fundował go król armeński Tiridat, co go wraz z całym ludem święty Grzegorz Wielki do chrześcijaństwa nawrócił. W klasztorze przechowuje się krzyż, przez tegoż świętego poświęcony.

Wyspa dość jest obszerna, więc pod skrzydła starożytnego klasztoru przytuliły się dwa inne, późniejsze kościołki. Jeden przy końcu dziewiątego wieku zbudowała armeńska księżna Takna i jej grób na wyspie się znajduje; drugi w połowie siedemnastego wieku wzniesli tyfliscy mieszczanie.

Po dwumilowej nadbrzeżnej podróży, dojechałem do wsi Helenówki, przez starowierców zamieszkałej. Oczy oddawna przywykłe do wiosek o płaskich dachach, albo do niskich darbaczów, ze zdziwieniem oglądały domy z nieociosanych berwion, wystające węgły, kończaste dachy, wielkie z ciesielskimi ornamentami wrota i dorodny lud, uwijający się w kolorowych koszulach po szerokiej i prostej ulicy.

Zmieniwszy konie, rozstałem się z brzegami jeziora, skręciłem na południowy zachód i z góry ku dołowi spuszczać się szybko zacząłem. Całe wznieśnienie, nabyte w deliżańskim wąwozie, miałem teraz utracić w ciągu ośmiomilowej do Erywania podróży. Zrazu mojej drodze towarzyszyła rzeka Zanga, jedyny odpływ sewanśkiego jeziora; ale chociaż obie, to jest i droga i rzeka, zarówno dążyły do Erywania, prędko się jednak rozeszły, posiadając każda inne usposobienie. Droga szukała spadków jaknajłagodniejszych; Zanga przeciwnie skakała z pieca na łeb, tocząc kamienie i ryjąc czarny złób wśród bazaltów.

Po dwóch milach podróży, jadąc wśród dzikiej, jałowej pustyni, stratomanej wulkanicznymi siłami, spuściłem się znacznie ku dołowi i spotkałem drugą starowierską osadę, Niższe Achty, gdzie znowu przeprzegł koni. Ztąd do Erywania zjeżdżałem ciągle na dół, sześciomilowym, niezaludnionym, pustym, spalonym, bezleśnym i nieznośnie gorącym stepem. Oprócz samotnych pocztowych stacyj, nie a nic więcej nie było przy drodze. Podróż byłaby bardzo nudną, gdyby jej nie upięknił i nie usrebrzał wspaniały olbrzym, bielący się przedemną na szafirowym niebie bez chmurki. Był to Ararat. Za Niższemi Achdami pokazał się poraz pierwszy i chociaż przeszło dziesięć mil byłem od niego odległy, już samowładnie panował nad całą okolicą. Postronne łańcuchy gór, co na Mazowszu mogłyby za olbrzymów uchodzić, w obec Araratu przypęzły do ziemi i były drobnymi karłami, na których oko spocząć nie miało chęci, zajęte wyłącznie głównym bohaterem czarujucej powieści, zaklętej w skały, w fale gór, w dolinę Araksu i fioletowe, jedne za drugimi coraz dalsze przestrzenie. Na tém fioleto-wym morzu, Ararat płynął jak okręt z rozpuszczonymi żaglami. Dwa były żagle. Od wschodu śnieżysty, straszliwych rozmiarów: to Wielki Ararat; od zachodu o połowę mniejszy, szary, gdzieindziej tylko biało prążkowany: to Mały Ararat. Prócz tego dwuzłowego okrętu, nigdzie spoczynku dla oka: w dole fioletowe fale gór, w górze szafirowe niebo. Ararat, to jakby łącznik nieba z ziemią. Gdyby poeta, obdarzony najgenialniejszą wyobraźnią, stworzył myślą miejscowość odpowiednią wielkim biblijnym tradycjom i potem gdyby popatrzył na Ararat z drogi spuszczał się ku Erywaniowi, zaręczam, porzuciłby dla rzeczywistości swój najidealniejszy ideał.

Żeby dać dokładniejsze wyobrażenie o kształcie Araratu, narażam się na trywialność; nie znajdując nic stosowniejszego, muszę go przyrównać do staro-wieckiej kulbaki. Wzniesieniem na łęku będzie w tym razie Ararat Mały (12,839 stóp), wysokim oparciem z tyłu Ararat Wielki (16,945 stóp), siedzeniem zaś przyłącz łącząca je z sobą. Na takim to wspaniałym siodle ród ludzki w ciężką, znojną i krwawą podróż wyruszył. Dziwna rzecz! Gdzieindziej zdaje się że to nieskończenie temu dawno; patrząc się na Ararat, zdaje się że to wczoraj. Im się bardziej ku niemu przybliżasz, im głębiej wciąż w piersi pod-araracką atmosferę, tém się silniej z biblijną epoką zespalasz. I nie może być inaczej. Martwe litery, tu ci się cudem w stare kapliczki, w zielone winnice, we wsie i miasta przeistoczyły. Co krok to biblijne podanie, żywe, gorące, dotykane. Tu Noe mieszkał, tam pierwszą winnicę zasadził, to jego, owdzie członków jego rodziny groby. W Armenii każdy wieśniak, każdy żebrak, każde dziecko o Noem rozpowiada. Jedziemy do Nachiczewania, a więc co Nachiczewań znaczy po armeńsku? *pierwszy nocleg*, to jest pierwszy nocleg Noego, po zejściu z Araratu. Niedaleko od sławnej góry są kopalnie soli, we wsi nazywanej przez Ormian Kogb, która jednak powszechniej pod turecką nazwą Kulpy jest znana. A więc kto podług podania w kulpińskiej kopalni był pierwszym robotnikiem? — Noe. Że kopalnia jest niesłychanie starożytną i że ludzie sól z niej dobywali, nim się rozpowszechnił użytek żelaza, dowodzą tego kamienne młoty, w starych szbach znajdowane.

W Armenii, z powodu upałów i rzadkich deszczów, nie się nie rodzi na miejscach nie irygowanych, nawadniające przeto kanały są rzeczą niesłychanie ważną, czasem bardzo kosztowną, a ich założyciele za dobroczyńców ludzkości są uważani. Kanały najczęściej ich nazwę noszą. Jeden kanał nazywa się Szamiram, to jest Semiramida, gdyż podług podania przez nią był zbudowany. Oto kraj! Noe i Semiramida w żywej tradycji ludu, jak u nas królowa Bona, król Sobek, pan kaniowski, albo król Poniatowski.

Są miejsca tak wybitnie nacechowane pewną historyczną epoką, że w obec niej całe późniejsze życie, choćby przez długie wieki się ciągnęło, jak błąd sen się rozprasza. Armenia dziś jeszcze jest biblijną i przedchrystusową krainą. Wielkie imiona starożytne jak skały niewzruszone zaległy brzegi Araksu i podnóża Araratu, jak winne łoża opłoty dzieje Armenii; Semiramida, Sardanapal, Cyrus, Xenofon, Aleksander Wielki, Annibal, Lukullus, Pompejusz, Marek Antoniusz,

wreszcie pochrystusowy już Trajan, są to liście tego winogrodu. W obec Araratu, który jest punktem środkowym, wodzem, osią, kluczem i koroną Armenii, przebiegnijmy treściwie dzieje tej fioletowej, rozeslanej u nóg naszych krainy.

We czterysta lat po potopie, jakiś myt Haik, zwycięzca drugiego mytu Nemroda, przenosi się z Chaldei pod Ararat, zespala jakieś mgliste żywioły i zakłada królestwo Armenii. Równocześnie dokoła związują się z mroku jakieś bryły, jakieś ciężkie masy, ważą się jedne na drugie, pękają, kruszą się, i pokazuje się w końcu, że bryłą najcięższą, najlepiej ulepioną jest Assyrya, ona więc wszystko przytłacza. Potomkowie Haika dostają się pod berło Semiramidy. Ty-siąc lat armeńska krzewina drzemie bez słońca, pod cieniem asyryjskiego dębu; ale piorun uderza, dąb się przewraca, Sardanapal podpala własny pałac, płonie wraz ze skarbami i z haremem, a w Armenii słońce błyska, Baruir niezależne armeńskie królestwo zakłada. Niezadługo błędnie niezależność w obec medyjskiej potęgi, a głośno prawie zupełnie, przytłoczona cyrusową, dobrze urządzoną maszyną. Tigranes I król armeński nosi wprawdzie zaszczytny tytuł cyrusowego sprzymierzeńca, ale i on i jego następcy, mimo armeńskiej korony, na perskich lenników wyglądają. Wojska ich wszędzie się z Persami włóczą, są w Grecji z Xerxesem, biją się z Xenofontem, w arbelskiej kłęsce pierzchają razem z Persami, dowodzone przez Oronta i Mifrausta; nareszcie razem z Persyą pada Armenia, ginie ostatni król haikowskiej dynastii. Grecy pod Araratem gospodarują, nie nadługo jednak. Na trzy wieki przed Chrystusem Seleucydzi wypędzają Macedończyków, ale w sto lat później zostają z kolei wypędzeni przez dynastję Arsacydów. Jeszcze przy Seleucydach Armenia na Wielką i na Małą się rozpada. Wielka Ararat dokoła otacza; Mała, wązkim pasem z nią granicząca, ciągnie się ku Czarnemu morzu, ku Trebizondzie.

Pod Arsacydami Armenia Wielka do zenitu swojej potęgi przychodzi, mianowicie za panowania Tigranesa Wielkiego, który pobił Syryę, Kapadocyę, Małą Armenię i Mezopotamię; wkrótce jednak Rzymianie wszystkie te zdobycze zagarniają i sama Armenia ugina się pod ich potęgą. W owych to czasach Lukullus pod Tigranocertą rozbija Armeńczyków.

W dwieście lat po Chrystusie zaczynają nowi goście do Armenii zaglądać: najprzód Chazarowie ją rabują, a w pięćdziesiąt lat potem perscy Sasanidzi podbijają; z pomocą jednak Rzymian Tiridates III król armeński odzyskał niezależność. W tym czasie chrześcijaństwo pod Araratem się krzewi i wkrótce zostaje religią panującą w Armenii.

Na początku V wieku Baram V król perski złożył z tronu Artasira, ostatniego króla armeńskiego z dynastji Arsacydów i Wielką Armenię w prowincję perską zamienił. Jęknęła pod-araracka kraina pod katowskim rządem Sasanidów, tych straszliwych tępicielei chrześcijaństwa. Na początku VI wieku Hunnowie po raz pierwszy zaglądają do Armenii, a na początku VII padają Sasanidzi, ustępując miejsca kalifom arabskim. Armenia przemienia się w rozstajną drogę, na której mahometanizm szamocze się przez długie lata z bizantyńskimi cesarzami.

Te ciągłe harce nareszcie słabną, i w końcu IX wieku Arsod Wielki zasiada na armeńskim tronie, dając początek dynastji Bagratidów, pod którą Armenia Wielka, ledwie dźwigać się ze swoich nieszczęść począwszy, wkrótce jeszcze straszniejszych doświadczyła. Przy końcu XI wieku rozszarpują ją Grecy, Turcy i Kurdy; ledwie kilku armeńskich książąt zachowuje niezależne dzielnice. Niezadługo resztki niezależności gasną, bo Mongołowie, jak nowy potop, cały Wschód zalęwiają. Po zniknięciu tej szarańczy, co gołą ziemię po sobie zostawiła, wygrzyłszy do korzenia wszystkie cywilizacyjne zarodki, Persowie objęli smutne po nich dziedzictwo.

Mimo tych sztrastliwych losów, armenizm i chrześcijaństwo pod Araratem do dziś dnia nie zostało wy-tępiony, taką w sobie cudowną, zachowawczą siłę posiada; ale z licznie kiedyś rozrodzonego plemienia, ledwie milion Ormian na całej ojczystej ziemi pozostało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) W ostatnim numerze Tygodnika, str. 35, szpalta 1, wiersz 19 od góry, zamiast *łosiopstragi*, należy czytać *łososiopstragi*.

ROZMAITOŚCI.

Z uprzejmości jednego ze znanych zbieraczy naszych, p. M. I., otrzymaliśmy doprzejrzania i wyboru ciekawych zeszyt rękopiśmienny. Są to listy pisane w różnych czasach i do różnych osób przez Mikołaja Malinowskiego, A. E. Odyńca, Syrokomlę, J. I. Kraszewskiego, dra T. Triplina i kilku innych. Według nas, najciekawsze z tego zbioru są listy Malinowskiego, który bawiąc w latach 1826 i 27 w Petersburgu, czynił przy bibliotece tamecznej poszukiwania historyczne, — i listy Odyńca, młodego wtedy poety-romantyka, pisane w latach 1825-27 z Warszawy, a będące wyborem przyczynkiem do toczącej się wówczas walki klasyków z romantykami. Parę z nich przytaczamy w wyjątkach.

I.

Mikołaj Malinowski do Leona Rogalskiego.

St. Petersburg, 29 stycznia 1827 r.

..... Im dłużej tu bawię, tém się mocniej przekonuję, że Petersburg jest jedynym miejscem, w którym nad historią literatury naszej najpomyślniej pracować można. Ażebyś się łatwiej o tém przekonał, muszę cię uwiadomić o moich nowych odkryciach.

Już dawniej pisałem do ciebie o bogactwach, jakie tutejsza biblioteka posiada w książkach drukowanych i rękopismach, ale sam nie wiedziałem o wszystkim. Od czasu jak tu jestem więcej znajomym, jak pozyskałem więcej zaufania, bliżej przypatrzyłem się wszystkim jej skarbowi. Znalazłem w półtora tomów *Miscellaneous*, gdzie najszacowniejsze ulotne pisma 16 i 17 wieku razem są pozszywane; mnóstwo nieprzełiczone broszur oficyny Unglerowskiej; ogromną liczbę mów i panegirów pogrzebowych profesorów krakowskich, rzucających wielkie światło na część biograficzną literatury naszej. Przy pilniejszym rozbięciu tych *hydr slugłowych*, zdarza się nadybywać nieznanne dzieła wielkich pisarzy, n. p. Kromera, Wolana i t. d. Starowski, którego tyle głosów pomawia o bałamuctwo, niektórzy nawet o dowolne komponowanie tytułów dzieł nigdy nieistniejących, świetnie wychodzi, bo usprawiedliwienie znajduje.

Ale, powiesz, książki nie są jedynakami. W Warszawie mógłbyś znaleźć dobor, większą łatwość używania, bliższe pomoce w zebranych i mogących być pod ręką bibliograficznych dziełach. Niewątpliwie; ale tu znalazłem, czego bym naprózno gdziekolwiek szukał: *Rękopisma Zabuskiego* (zob. w I tomie Bentkowskiego wiadomość o nich i domysł że są w Porycku). Przed dwoma tygodniami dopiero dowiedziałem się, że się tu znajdują. Wystaw sobie moją radość, kiedy znalazłem cztery folianty, każdy po 1000 stron, zapisanych drobnym niezmiernie pismem, mordującym wzrok, ale nasycającym umysł. W pierwszych dwóch tomach jest katalog, abecadłowym porządkiem, pisarzy wszystkich których znał Załuski, z krótką wiadomością o ich życiu; potem wypisanie mniej więcej dokładne ich dzieł; nakoniec cytacje gdzie obszerniejszą wiadomość znaleźć. Jedna tylko niedogodność, że nawet polskie dzieła cytowane są po łacinie; ależ zato ileż innych zalet! Edycje w kraju i zagranicą wyszłe najdokładniej wskazane, tłumaczenia na języki obce wymienione, a przy każdym dziele miejsce czyli biblioteka w której je widział. Tak n. p. kardynał Hozjusz, o którym prawie wzmianki w Bentkowskim niema, tu 4 arkusze bitym charakterem zajmuje. Dzieła jego na polski, francuzki, niemiecki, włoski i hiszpański język były tłumaczone, a któż o tém wiedział? Co większa, w dwóch drugich tomach wymienione są wszystkie dzieła na nasz język z pisarzy obcych tłumaczone, podobnymże porządkiem jak w dwóch pierwszych tomach, z krótką wiadomością tak o pisarzu oryginalnym, jak o tłumaczu.

Szczerze ci powiem — nie wiedziałem co się zemną dzieło, kiedy te rękopisma z pyłu wydobył. Byłbym ukląkł przed niemi, gdyby świadków nie było. Kto bez tej pomocy puszcza się na pisanie bibliografii czy historii naszej literatury, to tak samo jak

gdyby puścił się bez igły magnesowej na morze. To jedno byłoby zdolne nagrodzić mi wszystkie prywatce, które ponosię przychodzi w miejscu dla mnie obcym. Tymczasem oprócz tego tysiące pociech doznaję w bibliotece. Niedawno przeziierałem listy królów polskich, poczynawszy od Jana Olbrachta, aż do Stanisława Augusta. Zapewne nieszysztkie równie zajmujące, ale korespondencja Zygmunta I i Bony z Jerzym Radziwiłłem, a mianowicie Zygmunta Augusta z Mikołajem Radziwiłłem, jest przewyborna. Już Niemcewicz w tomie I swoich Pamiętników 32 listy wydrukował, ale sprawiedliwie się domyślał, że najciekawsze rzeczy z tej korespondencji zostały wyjęte. Tu jest 97 listów conajtajemniejszych, wszystkie o miłości dla Barbary. Jaki mąż! jaki kochanek! Serce się raduje, czytać co August czuł i myślał; a listy są obszernie, często po 1½ i po 2 arkusze. Przeziierałem dyplomata oryginalne królów. Między innymi jest pismo Zygmunta Augusta do arcybiskupa gnieźnieńskiego, aby Modrzewskiemu dał pokój i nie turbował go z powodu dzieł wydanych. Myśli o potrzebnej swobodzie uczonych są przedziwne. Ale nie skończyłbym, gdybym ci uczucia których tu doznaję chciał opisywać. Ileż to mi rzeczy straconych wynagradza! i t. d.

II.

A. E. Odyńca do Leona Rogalskiego.

Warszawa, 2 stycznia 1826 r.

..... Bawiąc cały miesiąc w Petersburgu, ani słówka do mnie nie napisałeś, a ja, od tygodnia ledwo do Warszawy przybyły, piszę do ciebie. — Kto lepszy?

Zostaję tu na miesiąc; któż wie wreszcie jak się złoży, może i dobrze na dłużej. Mimo powabne nowości, mimo zanadto pochlebne przyjęcie, często tęsknię do was, zwłaszcza wyobrażając sobie, że mi tu może nazawsze pozostać przyjdzie.

Znam już tedy wszystkich najpierwszych poetów warszawskich, którzy mnie bardzo grzecznie przyjmują. Dotąd najlepiej jestem z Zaleskim. Byliśmy po kilka razy u siebie, a wczoraj ze cztery godziny peregrynowaliśmy po mieście. Jest to blondyn, niższy prawie głową odemnie. Oko błękitne, żywe; twarz wcale zajmująca; 29ty rok ma teraz. Jakkolwiek dobra miałem o nim opinią, bliższe jego poznanie jeszcze ją bardziej podniosło. Czytał mi kilka wyjątków ze swoich większych poematów, które równa poprawność stylu, świeżość wyobraźni i tkiwość zaleca.

Dmóchowski, wydawca Biblioteki, był już dwa razy u mnie; ofiarował mi egzemplarz Biblioteki, a jutro daje dla mnie wieczór poetycki. Sporęj urody, brunet, dosyć przystojny; kształt głowy podługowaty; z charakteru i wymowy niezmiernie do Rosołowskiego podobny; mówi prędko i z zapalem. Dwie już dysputy odbyliśmy razem: jedną z Mochnackim wydawcą Dziennika, drugą z Osińskim na obiedzie u Krasieńskiego.

Niemcewicz, u którego byłem, niezmiernie grzecznie mnie przyjął. Bawiłem u niego krótko, ale się dłużej potem u Krasieńskiego widziałem i rozmawiałem, siedząc obok niego u stołu. W ognistej walce romantyków i klasyków jest umiarkowanym. Kiedy się Osiński z Dmóchowskim spięrali, powiedział do mnie: „Medium tenuere beati.“

Koźmian, człowiek około lat 50 mający; twarz dosyć poważna; włosy po większej części już siwy; oko błękitne, niezbyt otyły ani chudy. Zapalony przeciwnik romantyczności i romantyków, przyjął mnie jednak grzecznie, wielkie pochwały nie balladom, lecz tylko talentowi mojemu oddając. Leleweł rekomendował mi jemu jako tłumacza Ifigenii, co go nieco ułagodziło, ale czemu niełatwo uwierzył. Miał być, ale nie przyszedł do Krasieńskiego; ten wszakże, spodziewając się jego przybycia, polecił mi opiece Niemcewicza, aby mnie bronił w przypadku przed zawziętością klasyków.

Osiński przyszedł wpół obiadu. Jest to człowiek około lat 40, twarzy pociągłej, ospowatej. Z Osińskim podobno że się nie zbliżę; przy pierwszym bowiem poznaniu diabeł mnie pociągnął za język wspomnieć mu o parodii Dziadów. Zacerwienił się nie-

zmiernie i cały czas był już w złym humorze. — Wypięrał się wszakże. — „Nie mogliśmy też wierzyć, odpowiedziałem, żeby człowiek stojący na tym szczeblu chwały, chciał używać tak ostrej broni szyderstwa przeciw *ledwie zaczynającym* swój zawód.“ — Tu wszyscy słuchający, a szczególnie Krasieński, parsknęli śmiechem, a zdekoncertowany pan Ludwik w inną stronę zwrócił rozmowę, zręcznym opowiadaniem awantury, która się mu też ze względu cudzego epigramatu zdarzyła.

P. S. Nie możesz sobie wyobrazić, ja przynajmniej nie wyobrażałem sobie, tego entuzjazmu, jaki tu poezye Adama wzbudza.

III.

A. E. Odyńca do Leona Rogalskiego.

Warszawa, 20 stycznia 1826 r.

Musiałeś już mój pierwszy list odebrać; sądzę więc że wkrótce i twoją odpowiedź odbiorę, a z nią i skutek próśb moich. Posyłam ci listę nowopoznanych poetów i autorów. — Brodziński; Skarbek (autor Pana Antoniego, Podróży bez celu i nowo wyszłego Pana Starosty); Bernatowicz (autor Pojaty, która tu wiele ruchu bndzi — ot sobie niezły romans, lepszy od Tęczyńskiego); Tańska; Kruszyński (tłumacz Ody Pope'go i Antigony Alfieriego wiérsem bezrymowym, której mi kawałki czytał); Witwicki... więcej nie pamiętam.

Zawarłem traktat z klasykami Osińskim i Koźmianem, a to z okoliczności mojej *Róży*, którą w Dzienniku Warszawskim umieścitem. Przez dwóch aż posłańców Koźmian zapraszał mnie na wieczór w niedzielę. Przyszedłem. Znalazłem stolik stojący na środku, cztery świece po rogach; na stoliku Dziennik Warszawski. Z gości: Krasieński, Morawski, Jaksa Marcinkowski, Dmóchowski, Osiński i kilku senatorów. Ledwie wszedłem, uściskał mnie bardzo tkiwie Koźmian, sypiąc hojne pochwały za *Różę*. Deklamowali ją Dmóchowski, Osiński i Morawski po kolei. Robiono mi uwagi, które z wdzięcznością niby przyjąwszy, tém bardziej ująłem sobie Koźmiana. Potem, na moją prośbę, przyniósł swoje Ziemianstwo, z którego czytał kilka wyjątków. Niema co mówić... bardzo pigkne.

Z Osińskim znowu miałem utarczkę. Poczęto mówić o romantyczności, uskarżać się na nią i przeciw niej powstawać. Zarzucaliśmy mu, dlaczego dla sprostowania opinii nie pisze, a ja ztąd wzięwszy asumpt, rzekłem w bardzo grzecznych wyrazach, że pismo jest jedynym środkiem mogącym sprostować drogi poczynających i jedynie przyzwoitym ludziom starszym wiekiem i doświadczeniem. Czyż to nam było przyjemnie, dodałem, słysząc wszystkie te epitety głupców i t. p., któremi nas pan tak hojnie obdarzasz, a zamiast pokazania dobrej drogi, piorunujesz tylko przeciw tej jakąśmy obrali? — Osiński protestował przeciw temu w części, wymawiał się jak mógł, nakoniec przeproszał, i odtąd zgoda, którąśmy szklanką ponczu u Lursa stwierdzili.

Żebyś miał wyobrażenie o tych krytykach, posyłam ci śmieszna anegdota. U Krasieńskiego był Koźmian na obiedzie. Przed obiadem, gdyśmy stali przed kominkiem, Koźmian porwał leżącą na stole Pojatę, a otworzywszy na hazard tom 3ci, znalazł godło z Witwickiego. Zaczął więc przeciw całemu romansowi piorunować niezmiernie i chciał go wogień rzucić. Gdy tak, machając rękami, przechodzi się po sali, Morawski, znalazłszy godło z Myszeidy:

Do guseł zatém i czarodziejstw sławnych
Skrzętna się baba zarazem udaje....

czytał je Koźmianowi jako Witwickiego. Ledwie mu pozwolił doczytać wiérsz drugi i wytrąciwszy z rąk książkę, zawołał: „A już też większego głupstwa jak żyję nie czytałem.“ — Uważ jakie musiało być zawstydzenie Koźmiana, a śmiech przytomnych, kiedy się nazwisko prawdziwego autora odkryło. Tak-to oni sądzą; dlatego też mało kto dba o ich sądy. i t. d.